Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 15 (1803) • 11–17 kwietnia 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Cesarz z kijem golfowym

str. 3

Kaligula z Żoliborza

str. 6

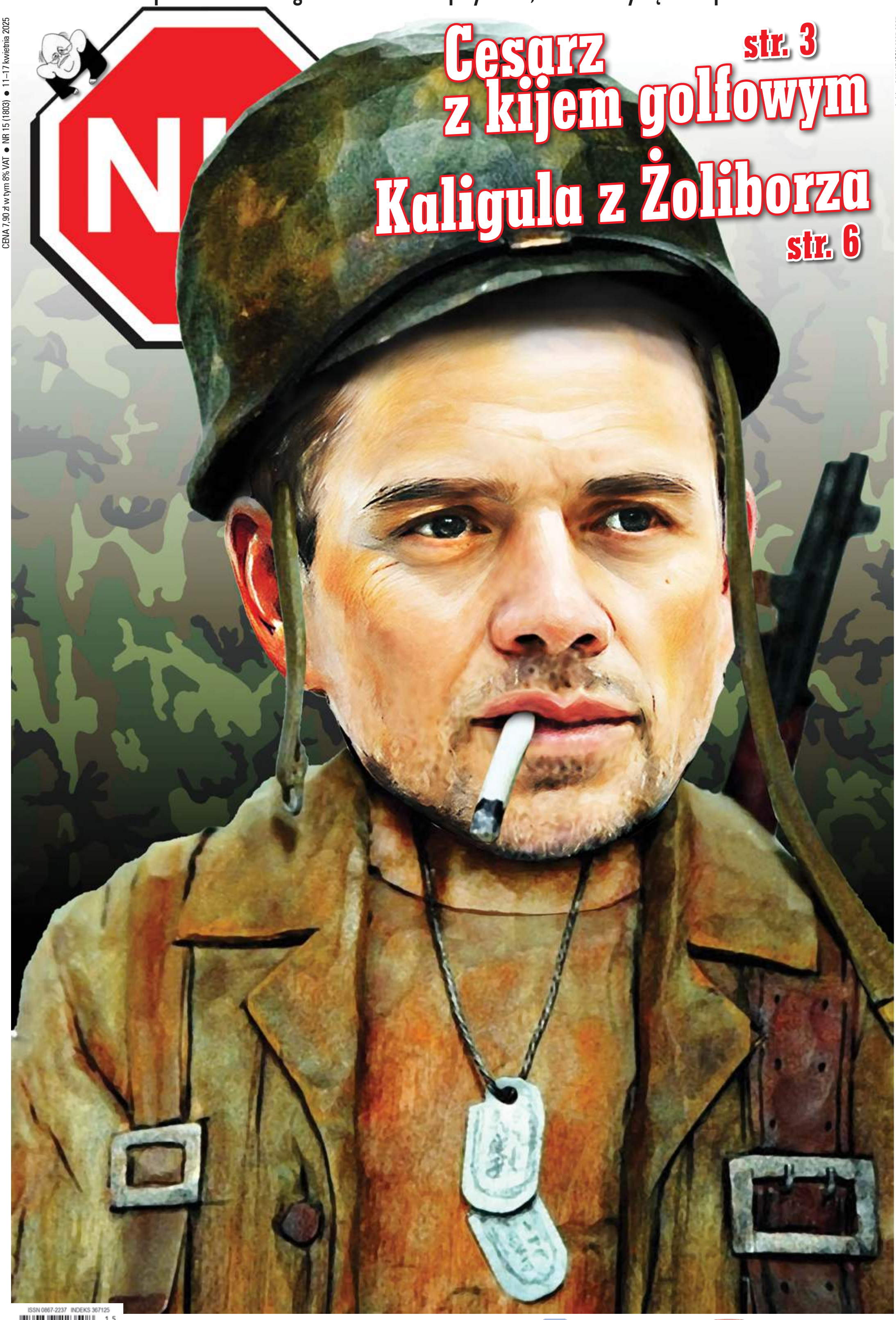

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223508 15

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 9d63dd6775

WOJNA DOMOWA

Koalicja Obywatelska wraz z Trzecią Drogą przegłosowały obniżenie składki zdrowotnej – wbrew lewicy, przy wsparciu Konfederacji i grupy posłów PiS. Pisowcy i konfiarze się wstrzymali, co oznacza, że de facto głosowali za. Warto, żeby to wybrzmiało: Platforma Obywatelska, PSL i Hołownia przepchnęli swój antyspołeczny projekt dzięki wsparciu formacji, które jakoby odgradzają kordonem sanitarnym. Polska Sieć Ekonomii – organizacja młodych, mądrych i odważnych ekonomistów – wylicza, że teraz koleś zarabiający 14 tysi jako firma zapłaci tyle samo składki na NFZ co woźna na minimalnej. Ryszard Petru jest przynajmniej szczery, kiedy tłumaczy, że możliwość okradania NFZ to nagroda za przedsiębiorczość: „Przedsiębiorca może w każdej chwili przestać zarabiać, a składkę musi płacić. Pracownik dostaje pieniądze od pracodawcy, to jest zupełnie inna sytuacja". Dostaje? Dostaje, członie w ząbek czesany?! Dostać to Petru może w kły od wkurwionych ludzi pracy najemnej – a i to nie będzie za darmo; solidnie sobie na to zapracował.

Administracja Trumpa wycofała amerykańskich żołnierzy z bazy lotniczej w Jasionce. Wicepremier Kosiniak-Kamysz pociesza, że „Amerykanie nie opuszczają Polski", a porzucenie centrum przesyłowego broni dla Ukrainy to tylko „optymalizowanie amerykańskich operacji wojskowych" – co wszystkie media przekazują z namaszczeniem, choć nie wszystkie wierzą. Red. Wieliński z „GW" wydał z siebie złowieszczy komentarz: „Moim zdaniem to zmienia wiele. To zły omen". Ciekawe, czy podobny lament ukazałby się w „Żołnierzu Wolności" na wieść o relokacji Północnej Grupy Wojsk ze Świnoujścia. Równolegle do odarcia Jasionki z ochrony Trump obłożył nas – wraz z całą UE – cłami, co nas oburza, bo przecież nie tego się spodziewaliśmy za naszą wierną służbę. Najbardziej oczarował nas portal rmf.fm, który poinformował: „Trump kpi i mówi o całowaniu w pupę". Tak dla wiadomości kolegów redaktorów z radia: „Kiss my ass" nie oznacza „całowania w pupę". Podobnie, jak ***** *** nie oznaczało „kochajmy się z Prawem i Sprawiedliwością".

Wprowadzając zasadę dwukadecyjności w samorządach, PiS oczywiście chciało zrobić kęsim Platformie, która ma w zasadzie na własność wszystkie większe miasta. Co powiedziawszy, trzeba odnotować, że pomysł nie był zły: sytuacja, w której lokalni włodarze wygrywali szóstą reelekcję w pierwszej turze prowadziła do zabetonowania samorządów i w zasadzie znosiła kontrolę demokratyczną nad prezydentami i burmistrzami – skoro każdy w mieście miał kogoś, kto pracował dla ratusza albo w miejskiej spółce, albo choć w szkole lub przedszkolu, więc wszyscy kładli uszy po sobie. Pisowska nowelizacja wprowadziła tu trochę zamętu. Teraz jednak samorządowcy – tak chwaleni przez Tuska jako ostatni szaniec wolności w państwie PiS i forpoczta zwycięstwa z 2023 r. – postanowili wystawić rządowi rachunek, domagając się zniesienia tych ograniczeń, żeby znowu mogli sobie zakandydować. Szczególnie szczery jest Jacek Karnowski, który był prezydentem Sopotu przez 24 lata i uważa, że to mu się po prostu należy.

Po tym, jak Jarosław Kaczyński próbował zepchnąć Romana Giertycha z mównicy sejmowej i w odpowiedzi usłyszał „mów mi wuju" – sytuacja nabrała niespodziewanej powagi, gdy Giertych zapowiedział „wyeliminowanie" z parlamentu posłów PiS, którzy wznosili pod jego adresem okrzyki „morderca". Na absurdalne enuncjacje Giertycha Kaczyński odpowiedział równie absurdalną konferencją, na której ogłosił, że PiS będzie ścigało karnie Tuska i każdego innego polityka obecnej władzy, który zarzucał byłej władzy odpowiedzialność za śmierci kobiet: „chodziło o śmierci wokółporodowe, ich jest bardzo niewiele w ciągu roku" – ogłosił prezes. I powtórzył: „Otóż powtarzam, to są dzisiaj przypadki bardzo rzadkie; teraz to jest czasem siedem, czasem dziesięć, czasem kilkanaście". Bliscy kobiet, które umarły, bo lekarze bali się ratować ich życie w związku z barbarzyńskim prawem antyaborcyjnym, mogliby nie zgodzić się z nieco bagatelizującym tonem prezesa – ale ważne jest co innego. Czy lider PiS naprawdę uważa, że przypominanie wyborcom antyaborcyjnego wyroku mgr Przyłębskiej – który dobrze ocenia 8,9 proc. Polaków, a źle 69,4 proc. – to dobry pomysł w kampanii wyborczej?

Kandydat Hołownia wygrał z kandydatem Mentzenem proces w trybie wyborczym. Sąd zobowiązał Mentzena do złożenia oświadczenia o treści: „Pełnomocnik Komitetu Wyborczego Kandydata na Prezydenta RP Sławomira Jerzego Mentzena oraz pan Sławomir Jerzy Mentzen oświadczają, że Sławomir Jerzy Mentzen działając w ramach kampanii wyborczej rozpowszechniał nieprawdziwe informacje, jakoby Szymon Hołownia zaprosił nielegalnych imigrantów z granicy z Białorusią do sejmu, robił sobie z nimi sobie sfitfocie i wrzucał je do internetu". Sąd dokładnie opisał, jak ma wyglądać rolka, którą Mentzen ma zmontować i wrzucić na swoje profile na socjalach, co jest interesującym wkroczeniem polskiego sądownictwa w trzecią dekadę XXI w. Nas jednak bardziej interesuje co innego: otóż Hołownia wygrał z Mentzenem, bo udowodnił, że zaproszeni przez niego do sejmu migranci nie byli „nielegalni". Towarzyszy nam taka myśl, że cały koncept sejmowej wigilii dla „osób z doświadczeniem migracyjnym" niejako bierze w łeb, kiedy autor owego aktu humanitaryzmu biegnie do sądu udowadniać, że jego migranci byli „legalni" – co wskazuje, że nie ma żadnego problemu z koncepcją istnienia ludzi „nielegalnych" i trzyma się od takich z daleka.

Arcybiskup Jędraszewski wynajmuje od miasta Krakowa kościół św. Łazarza. Miasto kupiło kościół wraz z kawałkiem terenu od Szpitala Uniwersyteckiego; Jędraszewski uważał, że Majchrowski winien mu go odsprzedać za 2 proc. wartości, ale ówczesny prezydent Krakowa się postawił. Jędraszewski będzie płacił miastu 15 tys. zł miesięcznie plus media i remonty – ale kościół będzie w rękach ultraprawicowych katooszołomów, zwanych uprzejmie „środowiskiem tradycjonalistów". Nam to jest najzupełniej obojętne, ale czy krakowscy katolicy wiedzą, że na ich koszt Jędraszewski będzie odprawiał czarne msze (w tym przypadku przymiotnik „czarny" nie oznacza szatana, tylko najczarniejszą reakcję)?

AWŁ

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Marzec – kwiecień 2013 r.

Świętego Ameda

Przesławna Monika Olejnik napisała w „Gazecie Wyborczej", że w marcu skończył się Janusz Palikot, skoro na spotkaniu z młodymi ludźmi użył słowa „chuj". Skąd u młodniejącej Olejnik taka nienawiść do słowa „chuj" przy takim zarazem upodobaniu do jego desygnatu?

Od 23 lat słyszę, że tygodnik „NIE" byłby nawet do przyjęcia, gdyby nie te brzydkie wyrazy. Byłoby kurewstwem, gdybym dla pieniędzy wyrzekł się kurwy.

Świętej Estery

Szef Kościoła kat. pan arcybiskup Józef Michalik potępiał przed Wielkanocą antyklerykalną nagonkę prasową, wywlekanie księżych przestępstw, które jego zdaniem nie są przestępstwami, ponieważ nie zostały osądzone.

20 lat temu w obecnej diecezji Michalika (przemyskiej) odbyła się na wiejskiej plebanii kolacyjka kapłanów. Po niej uczestnicy wyruszyli gęsiego swoimi samochodami. Na szosie znaleziono rozjechane zwłoki dziecka. „NIE" miesiącami prowadziło śledztwo dziennikarskie i uparcie publikowało jego wyniki oparte na opowieściach świadka i zdrajców z policji. Nasza wersja: dziecko potrącił proboszcz, a gdy upadło na szosę, rozjechał je swoim wozem biskup pomocniczy. Jego samochód następnie zniknął i wrócił od blacharza i lakiernika, wyglądając jak nówka.

Wersja kościelna, a tym samym policyjna i prokuratorska: nieznana ciężarówka potrąciła dziecko i uciekła. Proboszcz najechał na trupa. Biskup i jego auto nie mają związku ze sprawą. Ponieważ wierni w to nie wierzyli, kuria wydała do niech odezwę.

I otóż, proszę pana Michalika, status świętych krów rozwydrzył księży. I gdy stracili nietykalność, do której już przywykli, nieprzekonująco skarżą się na swój los.

Gdyby 20 lat temu wicebiskup odpowiedział za zabicie dziecka, następne pokolenia duchownych bałyby się rżnąć umiłowane dzieciątka, a biskupi nie mieliby statusu feudalnych władców.

Święty lany poniedziałek

Po publikacji we „Wprost" i w „Wyborczej", że Głódź jest chamem, satrapą i pijakiem, pan arcybiskup już nigdy nie awansuje. Ale będą też skutki donioślejsze. Księża dowiedzieli się, że biskupiej opresji można dać odpór, donosząc na szefa do prasy. A taka publikacja uruchamia od razu Watykan.

Pana Głódzia czeka teraz samotne chlanie za zamkniętymi drzwiami.

Świętej Sandriny

Zapytany o prawdziwość dialogów dygnitarzy oglądających mecz z Ukrainą przytoczonych w artykule redaktorów Jarugi i Marszała na trzeciej stronie „NIE", minister Graś odpowiedział, że to prima aprilis. I ocenił ujemnie nasz udany żart. Zmyślona relacja zrobiła w mediach karierę, chociaż dygnitarze gaworzyli, nie zdradzając żadnych sensacji. Widocznie fascynuje samo przystawianie ucha do ust bogów.

Następnie premier na stronie rządowej ogłosił, że przytoczone w „NIE" rozmowy „nie miały miejsca". Są „rażącym kłamstwem" i Tusk podejmie kroki prawne. Niechybnie będą to małe kroki człowieka, ale wielkie kroki ludzkości. Premier bardziej sam się ośmiesza niż nasz udany żart primaaprilisowy jego. Mam w kroku jego kroki.

Donaldowi Tuskowi polecam artykuł na str. 1 tegoż wydania „NIE" z 29 marca – 4 kwietnia pt. „Jezu, wstydź się". Zawiera on samą prawdę o tym, że kościelna Caritas chłonie pieniądze od państwa i ludzi na pomoc ubogim, a następnie okrada potrzebujących. Jest to ważniejsze niż ego premiera przeczulonego w trosce o swój majestat.

Świętego Ryszarda

Wielki Post przypada po Wielkanocy. W sklepach są tylko przedświąteczne resztki wyschnięte lub gnijące. Podobnie w domach. Radość po Zmartwychwstaniu przyćmiewa powszechna sraczka.

Świętego Izydora

Czy sztuczna palma z plastiku stoi jeszcze na rondzie de Gaulle'a w Warszawie? Jeżeli nie, trzeba ją przywrócić i niech OFE ustawią wokół leżaki. Spełnią daną emerytom obietnicę na wypoczynek pod palmą. Abonamenty na leżaki ważne byłyby przez 10 lat.

Wciąż świętego Izydora

Jeszcze tylko dwa tygodnie dzielą Polskę od 75-lecia red. Daniela Passenta. Szykując się do uroczystości, umyłem się, a także wyczyściłem zęby.

Świętej Ireny

Lokowałbym teraz pieniądze w tureckiej części Cypru, bo Unia Europejska jest skąpa, a Allach wielki.

Świętego Marcelina

No więc było już u ludzi przyjęcie karnawałowe. Ja drepczę w tłumie, a różne staruszki cmokają mnie na powitanie. Z nudów staram się przypomnieć sobie, czy kiedyś z daną staruszką spałem, czy bynajmniej. Nie udaje się w żadnym przypadku.

Za młodu tak się człowiek wysilał, żeby zerżnąć dziewczynę. I po co mu to było, skoro minione romanse trwale zaszczepiają się tylko w pamięci celebrytek? ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- Poseł **Edward Siarka** (PiS) zdementował doniesienie TV Republiki, jakoby dostał udaru po otrzymaniu kary od Hołowni. Widzowie Republiki są mocno zawiedzeni.
- **Jarosław Kaczyński** wezwał członków PiS do wspierania Karola Nawrockiego. Wszystkie członki dla Karola!
- **Marek Suski** liczy na Nobla dla Marii Dąbrowskiej. Dąbrowskiej to Nobel osobiście może wręczyć.
- **Karol Nawrocki** zapewnił, że nie będzie wspierał dziwactw kulturowych. I cyk, w maju premiera „Ślubów panieńskich".
- **Marianna Schreiber** poprowadzi program „Naga prawda" we wPolsce24. Znowu nago? Nuda.
- Jak informuje niedziela.pl, nie ma przekładów **Biblii** na 3500 języków i dialektów. Raj jednak istnieje.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Karykaturom Putina stanowcze „nie"!

Kiedy zobaczyłem na okładce „NIE" karykaturę prezydenta Putina, postanowiłem nie kupować już waszej gazety. Czytam „NIE" ponad 25 lat. Zdjęcia i tytuły ośmieszające prezydenta Putina lub straszące prezydentem Putinem i Rosją są w całej prasie. Jeżeli nie widzicie, nie możecie widzieć zabitych przez reżim Zełenskiego rosyjskich żołnierzy, dziennikarzy, mieszkańców, dzieci, możecie nic o Rosji nie pisać. Moglibyście zachować strategiczne milczenie.

Piotr S.

Za łagodnie

Niby coś się robi, żeby zakończyć tę bezsensowną wojnę za naszą wschodnią granicą, a tymczasem ruska armia znów bombarduje ukraińskie miasta (…). To wygląda tak, jakby Putin sobie nic nie robił z tych negocjacji, nawet jeśli robi je jego przyjaciel Trump. (…) Czy Putin w ogóle chce tego pokoju? Czy takie rozwalanie miast, zabijanie ludzi to jest po prostu jego rozrywka? Daleko mi do ukrainolubstwa, ale sądzę, że Putina to trochę za łagodnie traktujecie.

A.R., Kobyłka

Rzadkie jak kisiel

Pan Piotr Gadzinowski („NIE" 13/2025, str. 10) użył właściwego, a dotąd skrzętnie w naszym języku omijanego, określenia: „rzadko występujące metale" zamiast tego powszechnie używanego bezsensu: „metale ziem rzadkich"! Jakie rzadkie ziemie?! I czy rzadkie jak rozwodniony kisiel, czy rzadko spotykane? Lecz nieważne te ziemie, boć o metalach mowa, a nie o gruncie! Zapewne ktoś kiedyś tak to idiotycznie przetłumaczył z języka obcego – i wrosło w polszczyznę jak rak. Może jakiś autorytet językowy mógłby wyeliminować z obiegu ten absurd?

Elżbieta Balazy, Tarnów

Odebrać Kaczyńskiemu

Jarosław Kaczyński, co sam przyznaje, potajemnie spotykał się (…) na początku transformacji ustrojowej z rezydentem rosyjskich służb specjalnych Anatolijem Wasinem (…). To wtedy, dostając od Wasina i innych postkomunistów wszelką pomoc, m.in. w postaci pieniędzy z tzw. rosyjskiej pożyczki, i instrukcje postępowania, nielegalnie uwłaszczył się na państwowym majątku, przejmując biurowce i parcele w Warszawie o wielomilionowej wartości.

Dlatego priorytetową sprawą dla organów państwowych i wymiaru sprawiedliwości jest to, aby ten majątek jako nielegalnie przejęty (…) został odebrany Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Ponadto niedawno służby skarbowe wyliczyły, że rządy PiS przez osiem lat spowodowały straty i defraudacje na kilkaset miliardów zł. Dlatego majątek należący do Jarosława Kaczyńskiego i do jego fundacji i spółek powinien być skonfiskowany i przeznaczony na pokrycie strat i defraudacji, jakich PiS się dopuścił.

Czytelnik

PS Przy okazji namawiam czytelników do przyłączenia do akcji czytelniczej „Podaj dalej" (…), aby przeczytanego tygodnika nie odkładać na makulaturę, ale puszczać w dalszy obieg czytelniczy, zostawiając go np. na klatce schodowej, na ławce, na przystanku komunikacyjnym itp.

eprasa.pl 9d63dd6775

Cesarz z kijem golfowym

Publikujemy fragmenty nowej książki prof. Grzegorza W. Kołodko. „Trump 2.0 Rewolucja chorego rozsądku" właśnie trafia do księgarń.

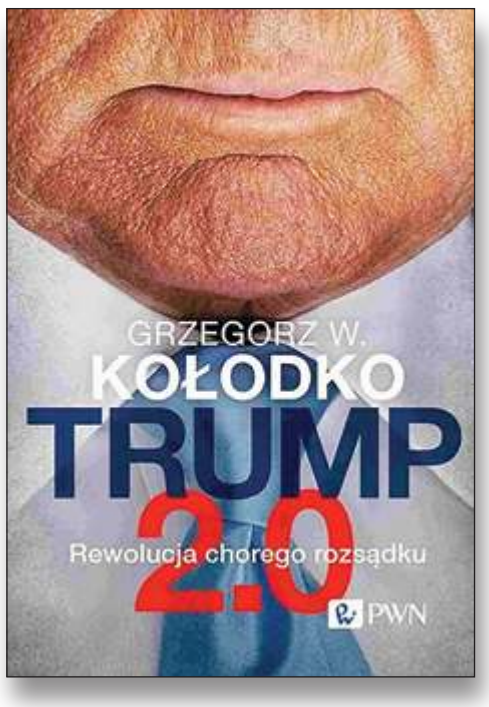

Tak oto doczekaliśmy czasu, kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych – najpotężniejszego kraju świata – proklamuje „rewolucję zdrowego rozsądku", podejmując szereg nonsensownych decyzji. Szkodliwe skutki wielu z nich nie zaoszczędzą nie tylko tamtejszego społeczeństwa. W szczególności odnosi się to do ekonomicznego merkantylizmu i niekorzystnych z punktu widzenia wzrostu gospodarczego praktyk protekcjonistycznych, a nade wszystko do działań sprzyjających dalszemu ocieplaniu klimatu zamiast do posunięć wspomagających ograniczanie skali tego fatalnego procesu. Jak można głosić „rewolucję zdrowego rozsądku", gdy w rzeczywistości lansuje się jego zaprzeczenie? Otóż, jak się okazuje, niestety można…

Chybionych, niekiedy wręcz szalonych pomysłów w kwestiach pozaekonomicznych Trumpowi 2.0 też nie brakuje – od masowych deportacji poprzez eliminację rozwiązań sprzyjających zatrudnianiu osób nietypowych po ograniczanie uprzednio gwarantowanego dostępu do części usług publicznych. Niektóre z tych zamiarów, jak chociażby kwestionowanie prawa do obywatelstwa dzieciom urodzonym w Stanach Zjednoczonych, ewidentnie stoją w sprzeczności z konstytucją. Inne, jak na przykład zgoda na eksploatację ropy naftowej w Arktyce, wciąż nieskażonej skutkami ludzkiej zachłanności, są sprzeczne z imperatywem ochrony środowiska naturalnego. Jeszcze inne, jak legislacyjne uderzenie w społeczność LGBT+, są dyskryminacyjne oraz niezgodne z właściwym traktowaniem osób z tej grupy zalecanym przez wyniki badań nad tożsamością psychoseksualną.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Dyktatorskie zapędy

USA to państwo, które konstytucyjnie limituje samowolę lokatora Białego Domu. To państwo federalne, w którym niejedna decyzja Waszyngtonu w określonych warunkach może być skutecznie zakwestionowana przez władze stanowe. Amerykański ustrój cechuje wyrafinowany system kontroli i równowagi, *check and balance*, ograniczający widzimisię prezydenta. Trumpowi to się nie podoba, więc trwa jego zamach na ten system. Z lubością podejmuje decyzje o ważkich krajowych i międzynarodowych konsekwencjach z pomijaniem demokratycznie wybranego Kongresu, podpisując serię rozporządzeń wykonawczych bez zważania na zastrzeżenia płynące z Senatu i Izby Reprezentantów. Zdaniem niektórych amerykańskich autorytetów prawniczych z 73 aktów wykonawczych podpisanych w pierwszym miesiącu urzędowania co najmniej kilka, jeśli nie kilkanaście może być uznane za niekonstytucyjne.

Mała pociecha w tym, że niektóre z chaotycznych zamysłów wychodzących z amerykańskiej stolicy napotkać muszą opór władz stanowych i mogą być przez nie zablokowane. Również niezależne sądy mogą zawiesić lub zakwestionować niektóre prezydenckie rozporządzenia. Ale Trump powiada, że ma nadzieję, iż system sądowniczy pozwoli mu zrobić to, co jego zdaniem musi, a jeśli nie, to trzeba będzie „przyjrzeć się sędziom". Gdy zaistniały pierwsze przypadki blokowania prezydenckich dekretów przez upoważnionych do tego sędziów, rzeczniczka Białego Domu oświadczyła, że „sędziowie ci działają jako aktywiści sądownictwa, a nie uczciwi arbitrzy prawa", a „prawdziwy kryzys konstytucyjny ma miejsce w naszej władzy sądowniczej". Niedobrze to wróży. Oby tylko nie uczyli się z polskich bogatych doświadczeń w psuciu i deklaratywnym naprawianiu sądownictwa.

Trump coraz bardziej się rozpycha, dążąc do jeszcze większej władzy, niż już posiada. Łatwo dostrzec jego bez mała zapędy dyktatorskie, co jest tym ciekawsze, że dzieje się to, kiedy ośmielił się nazwać prezydenta Ukrainy dyktatorem. Nie można na to wszystko wzruszać ramionami, bo to nie tylko amerykańska sprawa. Szkopuł w tym, że rozmaite fanaberie i ich forsowanie przez Biały Dom szkodzą masie ludzi poza granicami USA. Szanować trzeba wszystkie nacje, choć można nie przejmować się wielce tym, co się dzieje dajmy na to w Paragwaju czy Gambii, w Czarnogórze czy Laosie, ale to, co się dzieje w USA, dotykać może wszystkich. Tym bardziej niepokoić muszą autokratyczne dążenia Trumpa, który bez krzty samokrytyki i głębszej refleksji co do ogromnej odpowiedzialności, jaka ciąży na głowie państwa, pragnie uczynić ze swojej prezydentury wszechmocną władzę. Nawet brytyjski „The Economist" podkreśla, że „ta walka dotyczy fundamentalnego charakteru Ameryki. Prezydent mówi, że oczyszcza biurokrację z marnotrawstwa, oszustw i nadużyć, ale jego przeciwnicy ostrzegają, że niszczy rząd federalny. Mówi, że przynosi pokój światu i dobrobyt w kraju; ostrzegają, że rozbija sojusze, które utrzymują Zachód silnym. Mówi, że przywraca Ameryce wielkość; ostrzegają, że prowadzi kraj w kryzys konstytucyjny, a nawet w autokrację". Już jest wielki, ale chce być największy. Może niekoniecznie z berłem – kij golfowy wystarczy – ale koniecznie z koroną. Jak cesarz. Nie dziwi, że powołał się na Napoleona, oświadczając, iż „ten, kto ratuje swój kraj, nie łamie żadnego prawa".

Zaprzeczenie zdrowego rozsądku

Syndrom Trumpa 2.0 polega na tym, że gdy niektóre jego decyzje wydają się niedorzeczne, to ich skutki są realne. I poważne. Nie można więc lekceważyć głupstw, które mówi i czyni. Działania prawa grawitacji nie można zawiesić, ale wbrew prawom ekonomii może postępować. Aczkolwiek to tylko incydent na długiej ścieżce czasu, ekonomia musi zająć się jego pomysłami i działaniami. Aby zrozumieć szkodliwość trumponomiki i trumpizmu oraz zagrożeń, jakie te koncepty społeczno-gospodarcze i ideowo-polityczne niosą dla świata, nie można poprzestać na ogólnikowym stwierdzeniu, że są najzwyczajniej nielogiczne i w istocie stanowią zaprzeczenie zdrowego rozsądku. A to dlatego, że intelektualna miernota i moralna miałkość wielu z nich bynajmniej nie przekreśla możliwości wdrażania w praktyce opierających się na nich rozwiązań.

Można nawet spotkać się z opiniami, że niektóre sugestie i decyzje nowej administracji waszyngtońskiej zatrącają wręcz o dewiacje faszystowskie. Być może tak jest w przypadku prezydenckiego rozporządzenia w sprawie rozbudowy obozu (koncentracyjnego?) w amerykańskiej bazie morskiej na Kubie w celu ulokowania tam 30 tysięcy „najgorszych przestępców, nielegalnych imigrantów". Co najmniej tyle osób zamierza się tam wysłać. Nie wiadomo na jak długo, ale wiadomo, że warunki przebywania tam nie są takie jak w okolicznych resortach karaibskich. Obóz w Guantanamo to rygorystyczne więzienie otwarte wkrótce po ataku na nowojorski World Trade Center 11 września 2001 roku. Przeszło przez nie kilkaset osób oskarżonych o terroryzm. Na początku 2025 roku nadal przetrzymywano tam bez wyroku sądowego piętnaście osób. Niektórzy poprzedni prezydenci zamierzali zamknąć to więzienie, ale bez powodzenia, więc 47. prezydent zamiast wreszcie to uczynić, chce je rozbudować i osadzić tam – też bez wyroków sądowych – tysiące nie terrorystów, lecz nielegalnych imigrantów.

Ekonomia i polityka absurdów

Trumponomika to ekonomia absurdów, która myli skutki z przyczynami, nie pojmuje istoty zależności przyczynowo-skutkowych i sprzężeń zwrotnych obiektywnie występujących w stosunkach gospodarczych, zarówno krajowych, jak i międzynarodowych, nie potrafi prawidłowo policzyć ciągnionych kosztów i oszacować rzeczywistych efektów uruchamianych procesów ekonomicznych w sferze inwestycji, produkcji, handlu, dystrybucji i fiskusa. Zdumiewające, że taki zlepek bzdur mógł powstać w kraju, który szczycić się może czołowymi umysłami światowej myśli ekonomicznej.

Trumpizm to quasi-formacja ideowo-polityczna, która z jednej strony wierzy w omnipotencję Stanów Zjednoczonych, przyjmując ich bezdyskusyjną wyższość pod każdym względem nad innymi systemami, a z drugiej strony przypisuje sobie prawo używania siły w celu realizacji własnych egoistycznych celów, bez oglądania się na koszty, jakie inni ponoszą z powodu amerykańskiej ekspansywności. Zdumiewające, jak beztrosko ten poroniony nurt dystansuje się od tego, co wcześniej lansowano jako uniwersalne wartości oraz zasady, na których powinien opierać się światowy porządek; to słynne *rule-based order*.

Wspólną cechą trumponomiki i trumpizmu jest mistrzostwo w znanej już z wcześniejszych okresów i z innych miejsc (Polski nie omijając) populistycznej nowomowie, która zastępuje fakty powtarzanymi sloganami. Bo fakty przeszkadzają w polityce, a dokładniej mówiąc, w politykierstwie. To brytyjskiemu premierowi Haroldowi Macmillanowi (rządził w latach 1957–1963) przypisywane jest autorstwo trafnego spostrzeżenia, że polityka byłaby przyjemną sprawą, gdy nie fakty. Propagandyści są przekonani, że nawet zupełne brednie, jeśli tylko są dostatecznie agresywnie powtarzane, mogą trafić do niejednego ludzkiego umysłu.

Z Waszyngtonem i Chrobrym w tle

Amerykański sekretarz obrony Pete Hegseth goszcząc w Warszawie, powiedział: „Polska już wydaje 5 proc. PKB na obronę, co jest wzorem dla kontynentu (…) To pierwsze kroki, trzeba zrobić więcej". Przyjechał po to, aby właśnie to powiedzieć. No to robimy, stawiając sprawy na głowie. Źle to wróży, jeśli minister funduszy oświadcza, że „musimy zainwestować w bezpieczeństwo i zmobilizować do tego całą UE, (…) możliwe jest przekierowanie 20 miliardów złotych z inwestycji w zielone samorządy na przemysł zbrojeniowy. To jednak wymaga dialogu z UE".

Zamiast na prorozwojową zieloną transformację, na antyrozwojowe wydatki militarne. Zamiast wspierać integrację europejską z jej odpowiedzialną strategiczną wizją Europy konkurencyjnej, zielonej i socjalnej, będziemy zmierzać do Europy wojskowej, militarnej i zbrojeniowej.

Jeszcze trochę, a nie Węgry, lecz Polska – zważywszy ponadto na antyeuropejski kurs głównych partii opozycyjnych – będzie wpychać Unię na równię pochyłą.

To znamienne, że nie troszcząc się dostatecznie o jakość koła zamachowego rozwoju społeczno-gospodarczego, jakim jest postęp naukowo-techniczny, Donald europejski – bez wątpienia czyniąc aluzję do Donalda amerykańskiego z jego wołaniem *Make America Great Again!* – przemawiając w Parlamencie Europejskim jako premier Polski sprawującej prezydencję w UE, powiada, że „Europa była, jest i będzie wielka". Jak można zgadywać, w odróżnieniu od USA, które wielkie były i mają być, ale póki co zdaniem Trumpa nie są.

Szanse na to byłyby wszakże zdecydowanie poważniejsze, gdyby premier Tusk oraz inni polscy i unijni politycy posłuchali rad i sugestii nie Donalda Trumpa, a Maria Draghiego, byłego premiera Włoch i prezesa Europejskiego Banku Centralnego, który wraz z zespołem fachowców przygotował dla Komsiji Europejskiej specjalny raport wskazujący sposoby podnoszenia prorozwojowej konkurencyjności gospodarki UE. Powinno się do tego zmierzać przede wszystkim poprzez inwestycje na badania i rozwój, B+R. Tymczasem Europejczycy pozostają w tyle zarówno za Amerykanami, jak i Chińczykami, a Polska pod tym względem wlecze się na samym końcu unijnego ogona. A przecież konkurencję o rozwój społeczno-gospodarczy i poprawę jakości życia wygrają te gospodarki, które potrafią wydawać więcej na badania i rozwój niż na armię i zbrojenia.

Amerykański Donald, mówiąc jakie to dzięki niemu wielkie będą Stany Zjednoczone, lubi pokazywać się w Oval Office na tle portretu George'a Waszyngtona, pierwszego ich prezydenta w latach 1789–1797. Polski Donald, deklarując 2025 jako rok przełomu, przywołał naszego pierwszego króla tysiąc lat po jego koronowaniu: „Tak naprawdę trochę wzorem Bolesława Chrobrego postanowiliśmy – i to jest chyba nasze takie narodowe wzajemne zobowiązanie – rozpocząć nowy etap". Z deficytem budżetowym przekraczającym 6 proc. PKB? Z wydatkami militarnymi trzykrotnie przekraczającymi nakłady na badania i rozwój? Bez odpowiadającej współczesnym wyzwaniom strategii zrównoważonego rozwoju? Z brakiem dobrego pomysłu na wzmacnianie unijnej gospodarki? Waszyngton i Chrobry w grobach się przewracają...

Tak jak kiedyś Europa, zwłaszcza jej środkowo-wschodnia część, znajdowała się między młotem a sierpem, tak teraz znalazła się między młotem putinizmu, którym przesadnie nas się straszy, a kowadłem trumpizmu, który kuje żelazo, póki gorące – póki Europa nie potrafi jednoznacznie zdecydować, do czego i jak zdążać. Niestety, prezydencja Polski w UE nic twórczego do sprawy nie wnosi; marnujemy szansę.

Tymczasem traf jakiś – jakby drwiąc z naszego specjalnego położenia geopolitycznego – wpierw przynosi jakąś rosyjską rakietę, która spadła w jakimś lesie, a potem resztki jakiejś amerykańskiej, które wylądowały w jakimś mieście. Tymi incydentalnymi atrakcjami można się nie przejmować, ale martwić się trzeba, że nieustannie spada na nas mnóstwo intelektualnego i politycznego badziewia.

Grzegorz W. Kołodko, „Trump 2.0 Rewolucja chorego rozsądku", Wydawnictwo Naukowe PWN.

eprasa.pl 9d63dd6775

ETYKA BEZBOŻNA

Ciosek od Wrzosek

Co prokurator powinien

Pani prokurator Ewa Wrzosek jest prawdziwą harpią, gotową na strzępy rozszarpać każdego przestępcę z PiS, co w przypadku tego sympatycznego zawodu polega na oskarżeniu takiego gagatka przed sądem i wygraniu sprawy. Dziś ma na celowniku samego Jarosława K., na którego dybie głównie w związku z tym, że ów wielki budowniczy wieżowców dał się nagrać, jak żąda łapówki dla pewnego również sympatycznego niewątpliwie klechy. Tylko patrzeć, jak towarzysz pierwszy sekretarz tej partii, co to jest z narodem, a z nią naród, będzie musiał stawić się przed znienawidzoną przez siebie prokuratorką, którą już na zapas straszy więzieniem. Musi uważać, bo po takiej wizycie nawet niewinni mogą dostać zawału. A co dopiero winni! Zalecam relanium, pogotowie pod budynkiem prokuratury i księdza z kropidłem.

Wrzosek była za czasów PiS inwigilowana (słynnym Pegasusem) i na różne sposoby szykanowana. Była bowiem odważna i stawiała się Ziobrze, broniąc niezależności prokuratury i domagając się śledztw w sprawach różnych przekrętów pisowsko-ziobrowych. Twarda z niej sztuka, bo już w nowych czasach jako podwładna prokuratora generalnego Adama Bodnara potrafiła go skrytykować, a nawet zagrozić odejściem. Na szczęście tak się nie stało i to właśnie budząca postrach w czarnych jak sumienie biskupa szeregach funkcjonariuszy PiS jest twarzą powoli rozkręcających się rozliczeń.

I niby wszystko fajnie i wszystko OK, gdyby nie taka zagwozdka, że ustawa o prokuraturze nakazuje prokuratorom obiektywizm i bezstronność. Dokładnie mówi o tym artykuł 6: „Prokurator jest obowiązany do podejmowania działań określonych w ustawach, kierując się zasadą bezstronności i równego traktowania wszystkich obywateli". Natomiast kodeks etyczny (sam przed laty pomagałem go naprawiać) wtóruje tym słowom w par. 4: „Prokurator ma obowiązek unikać zachowań i sytuacji, które mogłyby podważyć zaufanie do jego niezależności, bezstronności i rzetelności zawodowej lub wywoływać wrażenie braku poszanowania dla prawa".

A tymczasem Ewa Wrzosek co chwila wypowiada się nader ostro o politykach PiS, a jej wojowniczy profil na portalu Elona Muska śledzą dziesiątki tysięcy ludzi. Nie studiuję tego i osądzać konkretnego przypadku prok. Wrzosek nie zamierzam. Chciałbym natomiast zastanowić się nad tym, co to znaczy, że prokurator ma być bezstronny i jakich granic nie wolno mu przekraczać. A prok. Wrzosek może sobie z tym zrobić, co uważa.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Łatwo tu o nieporozumienia, a jeszcze łatwiej o różnice zdań. Bo to jest coś, co w filozofii nazywamy sytuacją dialektyczną. Mamy z nią do czynienia, ilekroć trzeba brać pod uwagę przeciwstawne względy. I tak właśnie jest w tym przypadku. Na bardzo ogólnym poziomie wszyscy prawnicy – jako osoby zaufania publicznego – muszą ze sobą współpracować dla osiągnięcia tego dobra, jakim jest sprawiedliwe osądzenie każdej sprawy, na przykład wydanie sprawiedliwego wyroku czy postanowienia sądu. Sprawiedliwość jest wspólnym celem zawodowych uczestników procesu, na czele z sędzią, prokuratorem i pełnomocnikami stron, którymi są adwokaci i radcowie. To tak jak gdyby wszyscy grali do jednej bramki. I to się zgadza – w teorii i adwokat, i prokurator mają dbać o to, aby (dajmy na to) wyrok nie był ani zbyt surowy, ani zbyt łagodny. W przeciwnym razie byłby bowiem niesprawiedliwy.

Czym więc się różnią od sędziego, który musi być bezstronny? Tym, że sędzia musi być bezstronny na każdym etapie postępowania i bezwarunkowo, natomiast prokuratorzy i adwokaci pełnią swoje role procesowe, które polegają właśnie na tym, że są – w granicach „gry", jaką jest proces – stronniczy: adwokat na rzecz swego klienta, a prokurator przeciwko oskarżonemu. Jest to jednak stronniczość warunkowa i relatywna. W trakcie procesu reprezentanci stron niejako odgrywają swoje role, czyli poniekąd fingują stronniczość, aby w ten sposób ułatwić sędziemu zachowanie bezstronności niezakłóconej przez naprzemienne wcielanie się w rolę obrońcy i oskarżyciela. Po prostu prokurator i obrońca wyręczają sędziego w tym, co jest niezbędne dla sprawiedliwości i bezstronności, czyli w przedstawieniu za i przeciw winy oskarżonego.

Proces tak właśnie jest skonstruowany nie tylko dlatego, że sędziemu byłoby bardzo trudno naprzemiennie brać stronę oskarżonego i zwracać się (dla równowagi) przeciwko niemu, lecz również z powodów społecznych. Opinia publiczna bardzo często jest podzielona i oba jej odłamy chcą widzieć w procesie swoich reprezentantów i rzeczników. Weźmy chociażby rodziny ofiar przestępstw z jednej strony i rodziny samych przestępców z drugiej. To, że każdy ciągnie w swoją stronę na oczach sędziego, nazywa się uczenie zasadą kontradyktoryjności.

I to tyle. Tylko tyle i aż tyle. Prokurator jak najbardziej powinien być stronniczy, bo zajmuje się tym, co domniemanego winowajcę obciąża. I tak samo adwokat, który akurat zajmuje się tym, co tę samą osobę tłumaczy i jej ewentualną winę umniejsza.

W ramach swojej roli prokurator może publicznie (to znaczy, że również poza salą sądową) domniemanego winowajcę oskarżać i wręcz obnosić się z tym, że akurat jego zasada „domniemania niewinności" nie dotyczy. Bo też gdyby domniemywał niewinność każdego, to by nikogo nie oskarżył.

Nie domniemywać niewinności to wilcze prawo prokuratora, które równoważone jest przez nakaz domniemywania niewinności, jaki ciąży na sądzie aż do ostatniej chwili przed wydaniem wyroku.

Na czym więc polega bezstronność i obiektywizm prokuratora? Otóż na tym właśnie, o czym jest mowa w ustawie i w kodeksie: wszystkich ma traktować tak samo i nigdy nie pozwalać sobie na prywatę. Nie może jednemu obywatelowi pobłażać i rezygnować z oskarżania go na przykład ze względu na to, że należy do partii rządzącej, a wobec innego być bardzo surowym na przykład dlatego, że jest działaczem opozycji. Nie może też angażować się w publiczne i polityczne spory w sposób, który mógłby nasunąć podejrzenie, iż gotów jest nadużywać swego stanowiska dla represjonowania tych, których krytykuje. Dlatego prokuratorzy powinni unikać publicznego wypowiadania się o sprawach niezwiązanych z ich pracą, a za to mających związek z toczącymi się postępowaniami w jakichś niezwiązanych z prawem aspektach. Gdyby prokurator był na przykład zaangażowany w działalność ekologiczną, a przyszło mu oskarżać w sprawie o korupcję kogoś, kto przy okazji jest właścicielem mało ekologicznego zakładu produkcyjnego, to nawet jeśli potrafiłby być bezstronny, ludzie i tak mieliby co do tej bezstronności wątpliwości.

Prokurator musi więc być bardzo ostrożny. Jednakże w sprawach związanych z jego własną pracą i życiem zawodowym wolno mu być aktywnym i krytycznym. Ewa Wrzosek krytykowała sposób funkcjonowania prokuratury za czasów Ziobry i chwała jej za to. Któż może być bardziej kompetentny i zainteresowany tą sprawą niż obywatel-prokurator? Oceniając prok. Wrzosek, trzeba pamiętać o tych dwóch sprawach. Po pierwsze prokurator ma prawo dużo, źle i całkiem publicznie mówić o tych, których oskarża. Byleby tylko nie kłamał i nie udawał, że nie zna dowodów i okoliczności, które przemawiają za domniemanym przestępcą. Po drugie prokurator ma prawo krytykować przepisy prawa, na mocy których działa, i postulować ich udoskonalenie, a ponadto ma prawo krytykować swoich przełożonych, gdy źle te przepisy stosują. Tego rodzaju zaangażowanie nie podważa wiarygodności prokuratora jako funkcjonariusza państwowego, stojącego na straży przestrzegania prawa. A inna sprawa, że wielu ludzi tego nie rozumie. Z pewnością nie rozumieją tego Kaczyński i jego pretorianie. Bo to jednak nie na ich przyciężkie głowy.

JAN HARTMAN

GADMAN

To ja, twoje radio

W maju będziemy mieć hybrydowe wybory prezydenckie

W maju odbędą się w Polsce wybory prezydenta RP. Na pewno wystartuje kilkunastu kandydatów. Ale tylko dwóch ma szansę na zwycięstwo. Dopiero w drugiej turze wyborów. Tak przynajmniej mówi się w polskich mediach, politycznych plotkach, na bazarkach i u cioci na imieninach.

Po co zatem pozostali kandydują? Skoro sondaże opinii publicznej, bazarki i ciocine imieniny zgodnie nie dają im szans? Otóż polityczny sukces w wyborach na prezydenta RP nie zawsze warunkuje wyborcza wygrana. Dla większości kandydujących ważniejsze jest, z kim, kiedy i jak bardzo przegrają.

Lewa wolna

Jeśli popatrzymy na lewą stronę sceny politycznej, to mamy już przegranego i zwycięzców. Tym pierwszym jest Piotr Szumlewicz, przewodniczący Związkowej Alternatywy. Kandydat, o którym mówi się, że jest niegłupi i dobrze prezentujący się w mediach. Ale nie zdołał zebrać 100 tys. podpisów poparcia. To świadczy o słabej kondycji organizacyjnej Związkowej Alternatywy. Albo o słabym przywództwie Szumlewicza.

Podpisy zebrali i swe komitety wyborcze zarejestrowali Magdalena Biejat, Joanna Szenyszyn i Adrian Zandberg. To pierwszy ich sukces.

Mówi się, że Magdalena Biejat – zatrudniona jako wicemarszałkini Senatu RP – politycznie pracuje na przyszłość Nowej Lewicy. Media zgodnie nie wierzą w jej zwycięstwo. Upowszechniają sugestię przewodniczącego Nowej Lewicy Włodzimierza Czarzastego, że lansowana jako „dziewczyna z sąsiedztwa" Biejat ma szansę na czwarty wynik. Mówi się też, że Magda może być pierwszą w rankingu „kandydatki na prezydenta".

Po co zatem Biejat kandyduje? Po co oddawać na nią głos, skoro nawet na pierwszą trójkę, wyborcze „pudło", szans nie ma? Czy nie lepiej od razu zagłosować na lidera progresywnej Polski Rafała Trzaskowskiego, aby wygrał już w pierwszej turze?

Warto jednak na nią zagłosować, podobnie jak na innych, też skazanych na porażkę kandydatów. Bo oni robią kampanię wyborczą, aby przede wszystkim wylansować się i upowszechniać program swej formacji politycznej.

Za dwa lata będzie kampania do parlamentu. Start w wyborach prezydenckich daje darmową reklamę w mediach. To dobra prekampania do parlamentu.

W czasie takiej kampanii można przetestować sprawność lokalnych struktur partyjnych. Zmobilizować zwolenników. Wykreować nowych aktywistów.

Mówi się, że osiągnięty przez Magdę Biejat wynik pokaże poziom żelaznego elektoratu Nowej Lewicy. Mówi się też, że wynik Magdy, często kierującej swój program do kobiecego elektoratu, pokaże liczebność i zdolność do mobilizacji lewicowych aktywistek.

Zatem oddany w pierwszej turze wyborczej głos na Biejat przede wszystkim będzie głosem na lepszą przyszłość polityczną Nowej Lewicy i na Biejat jako jej przyszłej liderki. Zwłaszcza że powszechnie mówi się, iż Włodzimierz Czarzasty zamierza w 2027 r. zakończyć swą karierę polityczną. Podobnie drugi wiceprzewodniczący Nowej Lewicy eurodeputowany Robert Biedroń.

O zbliżone cele i wynik walczy Adrian Zandberg, lider partii Razem. Dzięki jego kampanii, obecności w mediach głównego nurtu, sondażowe poparcie dla partii Razem sięga już poziomu prawie 3 proc. I może dalej wzrosnąć, bo Adrian Zandberg bardzo dobrze wypada w mediach. Zwłaszcza w debatach kandydatów.

Taki poziom poparcia nie gwarantuje Razem przekroczenia progu wyborczego i obecności w sejmie. Ale daje prawo do ewentualnego zwrotu wydatków wyborczych, zasilania partii przez pieniądze z budżetu państwa. Taki minimalny socjal dla partii politycznej, szanse na dalszy żywot polityczny.

O trzeciej lewicowej kandydatce, profesor Joannie Senyszyn, w mediach głównego nurtu najmniej się mówi. Rejestracja jej komitetu wyborczego wywołała zdumienie niektórych. Inni mają kłopoty z lokalizacją Joanny na lewicowej mapie politycznej.

Najczęściej mówi się, że jest reprezentantką starej lewicy z dawnego SLD albo że startuje na złość Włodzimierzowi Czarzastemu, a zatem jej wynik odzwierciedli liczebność starówki z SLD lub poziom wkurzenia na przewodniczącego Włodzimierza.

Centrum skurczone

Mówi się, że kandydatem centrum politycznego miał być aktualny marszałek sejmu Szymon Hołownia. Był niedawno kochany i pieszczony przez media głównego nurtu. Ale wraz z postępowaniem kampanii wyborczej o marszałku mówi się tam coraz mniej. I coraz bardziej krytycznie. Również jego sondażowe poparcie wyborcze nie rośnie. Zaś liderzy PSL, współpracującego jeszcze z marszałkiem Hołownią, coraz rzadziej wspominają o zasileniu finansowym komitetu wyborczego tegoż marszałka. Widać nie wierzą, że mariaż z Hołownią nabije im poparcie w przyszłych wyborach parlamentarnych.

Mówi się też wśród komentatorów sceny politycznej, że marszałek Hołownia nie powtórzy przypadku Pawła Kukiza. Kiedyś Kukiz zyskał dobry wynik w wyborach prezydenckich i dzię-

eprasa.pl 9d63dd6775

Poświęćmy Giertycha dla demokracji

Krótkowzroczność rozliczactwa

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Minister sprawiedliwości – w obstawie ministra spraw wewnętrznych – ogłosił zrodzenie komisji ds. „wyjaśnienia mechanizmów represji poprzedniej władzy wobec społeczeństwa obywatelskiego". Komisja będzie zapraszać represjonowanych antypisistów i wysłuchiwać ich żali, co da podstawę do stworzenia raportu, który zapewni, że takie sytuacje się więcej nie powtórzą.

Komisja ds. nierepresjonowania

„Ta komisja nie ma represjonować funkcjonariuszy, nie ma represjonować osób, które wykonywały jakieś prace na stanowiska szeregowych w różnych miejscach" – zapewniał na konferencji min. Siemoniak. Samo użycie terminu „represjonować" w odniesieniu do działań ciała funkcjonującego de facto poza prawem, na podstawie rozporządzenia premiera, wydaje mi się niepokojące. Bo skoro słyszymy, kogo komisja nie ma represjonować – to pojawia się pytanie, kogo ma. I na to pytanie też odpowiedział minister od policji i służb specjalnych: komisja „ma się zająć tymi politykami, którzy z nadużywania władzy, wykorzystywania różnych instrumentów, wykorzystywania służb i mediów publicznych uczynili metodę swego funkcjonowania".

Do zadań komisji – dodał Siemoniak tytułem przykładu – należeć będzie ustalenie, „kto decydował o tym, że aktywiści demokratyczni byli inwigilowani przez system Pegasus". Zaraz, zaraz – czy mi się tylko zdaje, czy od Pegasusa mamy w sejmie specjalną komisję śledczą? Żenującą, to prawda, kompletnie skompromitowaną ucieczką przed Ziobrą, ale jednak mającą umocowanie ustawowe, wyposażoną w uprawnienia prokuratorskie, działającą w oparciu o kodeks postępowania karnego? Po cholerę zatem nowe ciało, oparte na zasadzie woluntarystycznej, złożone z osób, które mają kosę z PiS-em i chcą dać temu wyraz?

Na czele komisji stanęła mecenas Sylwia Gregorczyk-Abram z inicjatywy Wolne Sądy, a w jej skład weszły osoby takie jak Klementyna Suchanow z Ogólnopolskiego Strajku Kobiet czy red. Adam Krajewski, który zasłużył sobie na to poprzez publikację dzieła „Ulicznicy 2015–2023" poświęconego antypisowskim protestom. (Jako ciekawostkę odnotuję, że red. Krajewski popełnił również książkę zatytułowaną „Zasługa dla Polski. Pułkownik Ryszard Kukliński opowiada swoją historię" – co samo w sobie wydaje się świadectwem jego dziennikarskiego obiektywizmu.)

Nawiasem mówiąc, red. Krajewski w swoim wystąpieniu, poświęconym głównie sobie, powiedział coś, co prawdopodobnie dobrze charakteryzuje nastawienie wielu członków komisji do wyznaczonych jej zadań: „Będziemy próbowali pewną rekompensatę dać tych ludziom, znaczy: wysłuchać ich, dowiedzieć się, jak to wyglądało, i podziękować".

Gdyby prace komisji ograniczały się do tej swoistej funkcji terapeutycznej, podszytej umizgami do aktywistów, którzy twardo występowali przeciw PiS, a dziś są cokolwiek rozczarowani – można by się tym nadmiernie nie przejmować. Obawiam się wszakże, że zadania tego ciała są znacznie poważniejsze.

Tusk na skrzydłach

Ich istota sprowadza się bowiem do piętnowania wrogów demokracji. Najlepiej – co Siemoniak powiedział mniej więcej wprost – wśród liderów Prawa i Sprawiedliwości, ale jeśli się znajdzie jakaś pomniejsza ofiara, to też się nią nie pogardzi. Ten rząd ma bowiem tylko dwa biegi: Ruscy i PiS.

W ramach pierwszego toczy się szaleńcza militaryzacja, z której wszyscy mamy być dumni – monstrualne wydatki na wojsko kosztem inwestycji rozwojowych i usług publicznych, groteskowe szkolenia wojskowe na wielką skalę, absurdalne pomysły w postaci „budowy bagien i mokradeł" na wschodniej granicy. Cel tego ćwiczenia zdaje się oczywisty: łatwiej rządzi się społeczeństwem otumanionym porywami patriotycznego uniesienia podszytego lękiem przed wrogiem. Istnieje nadzieja, że w tych porywach ludzie nie zauważą marnej jakości władzy.

Drugie skrzydło polityki uśmiechniętej koalicji to właśnie polowanie na PiS, które po półtora roku rządów gabinetu Tuska przybiera skalę polowania na czarownice. Naprawdę bardzo daleko mi do Prawa i Sprawiedliwości – ale obiektywnym faktem jest, że ta formacja ma poparcie jednej trzeciej obywateli RP. Dla nich twarzą obecnej władzy coraz bardziej staje się Roman Giertych, który właśnie ogłosił na łamach „Rzeczpospolitej", iż „wyeliminuje Jarosława Kaczyńskiego z życia publicznego".

„Chcemy doprowadzić do skazania wszystkich posłów PiS, którzy do Wielkanocy mnie nie przeproszą. Jeżeli nie przeproszą do Wielkanocy, będę zmierzał do ich skazania. Będę zmierzał do tego, aby zapadły wyroki, które na zawsze tych ludzi usuną z parlamentu. Będę zabiegał o wyroki skazujące na karę pozbawienia wolności w zawieszeniu na jakiś czas, tak aby wszyscy stracili mandaty i nie mogli przez wiele lat kandydować do sejmu. Takich ludzi w sejmie nie można tolerować. Trzeba ich z niego eliminować" – tokował Giertych w „Rzepie".

Przyczyną usunięcia z polityki szefa największej partii opozycyjnej, a także jej czołowych działaczy, „pana Macierewicza, pana Morawieckiego i innych posłów PiS" ma być to, że – uwaga – znieważyli Giertycha. Szef platformerskiego zespołu ds. rozliczeń PiS powiedział to wprost: będzie dążył do usunięcia z sejmu i zakazu kandydowania dla polityków „znieważających mnie i narażających na niebezpieczeństwo".

Przestroga Urbana

Owo niebezpieczeństwo – szczerze wyznał Giertych w swoim zaperzeniu – wynika z siły poparcia, jakim PiS się cieszy: „Chciałbym zapytać posłów PiS, jak sobie wyobrażają moje funkcjonowanie w normalnym życiu, gdzie 30 proc. obywateli słucha Jarosława Kaczyńskiego, który uznaje mnie za mordercę?"… Mam taką, zapewne niecenzuralną, refleksję: w ostatnich wyborach

PiS dostało 7 640 854 głosów. Roman Giertych – 23 622. Jeśli Giertych nie jest w stanie funkcjonować w jednej polityce z PiS-em, bo czuje się znieważony i zagrożony – to czy z puntu widzenia demokracji reprezentatywnej słuszniejsze jest usunięcie z sejmu PiS-u, czy Giertycha?

Urban darzył PiS żarliwą, namiętną nienawiścią – jak sam przyznawał, była to ostatnia namiętność w jego życiu. A mimo tego przestrzegał przed zinstytucjonalizowanym pogromem pisowców, bynajmniej nie kierując się miłosierdziem. Z właściwą sobie autoironią przywoływał swoje młodzieńcze ataki na powojennego kanclerza Niemiec Konrada Adenauera, który zamiast powywieszać byłych hitlerowców, zatrudniał ich do rządzenia państwem – np. szefem swojej kancelarii mianował dr Hansa Globkego, współautora ustaw norymberskich.

Urban zauważał, że w powojennych Niemczech tolerancja wobec nazistów była warunkiem budowy demokracji: „Posthitlerowcy z rodzinami stanowili tak liczną grupę wyborców, że politycy, którzy by ich odsuwali od życia publicznego, nie mogliby w wyborach liczyć na większość głosów. Nie czyniąc sprawiedliwości dziejowej, Adenauer tym niezbędnym zaniechaniem fundował demokrację wyborczą i okazało się, że miał rację. Naziści z czasem powymierali, a demokracja utrwaliła się w Niemczech, trwa i jest wzorowa, podczas gdy w Polsce zdycha. Na przykładzie Adenauera udowadniam zatem, że byłem osłem"…

Pytanie, które zadaję sobie za każdym razem, kiedy słyszę o kolejnej odsłonie „rozliczeń PiS", brzmi: co jest ważniejsze? Czy ważniejsza jest trwałość demokracji, gwarancja płynnego przekazywania władzy, kiedy wola wyborców zdecyduje o zmianie parlamentarnej większości, zdolność społeczeństwa do funkcjonowania w jednym państwie, mimo – żeby zacytować klasyka – linii bolesnych podziałów przebiegających przez każdy zakład pracy i przez wiele polskich domów? Czy też doraźna wygoda nieudolnej ekipy rządzącej, która polowaniem na czarownice usiłuje odwrócić uwagę Polaków od pogarszającej się jakości życia i braku pomysłów na rozwiązanie najbardziej palących problemów społecznych, takich jak kryzys mieszkaniowy czy zapaść służby zdrowia – którą skądinąd przyspieszy obcięcie składki zdrowotnej przegłosowane ostatnio przez sejm?

Inaczej mówiąc: kogo bardziej kochasz, Polskę czy Tuska?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

ki niemu zasiedział się w sejmie na lata. Został zawodowym politykiem. A Hołownia będzie gwiazdą jednego sezonu politycznego. Potem wróci do katolickiego szołbiznesu.

Mówi się, że są na kandydackiej liście kandydaci robiący kampanie wyborcze, by jedynie wylansować swoją osobę. Mówi się, że niektórzy mogą prać dzięki kampanii lewe pieniądze swych przyjaciół. Mówi się też, że są kandydaci z poparciem zagranicznych mocarstw. Jak kiedyś kandydaci na króla elekcyjnego. Mówi się też, że działajacy u nas agenci niektórych mocarstw, przykładowo Haiti, opowiadają w swej centrali, że czasie tej kampanii można wylansować polityka prohaitańsiego. Ale centrala musi dać na kampanię przynajmniej milion baksów. Jeśli da, to pół miliona od razu bierze agent z Haiti, a drugie pół przekazuje rokującemu haitańskie nadzieje kandydatowi. Ten ze swojej połowy chowa do swej skarpety przynajmniej połowę, a resztą obdarza zaangażowanych w kampanię swych zwolenników. Nie walczą o prezydenturę RP. Szykują się na kampanię parlamentarną i przede wszystkim samorządową. Tam, gdzie mają jakieś realne szanse na wybór.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Prawa strona buzuje

Mówi się na prawicy, że kandydat Karol Nawrocki nie ma szans nawet jako prezydent RP na przewodzenie przyszłej polskiej prawicy. Dlatego Karol został kandydatem obywatela prezesa Kaczyńskiego.

Szanse takie ma mieć Sławomir Mentzen. Mówi się, że Mentzen nie chce być prezydentem RP, bo już wie, że w Polsce realną władzę, realną kasę ma premier. Mentzen też wie, że nie rajcuje go prezydencka dyplomacja, kiedy musi mówić to, co aktualnie musi. Oczywiście Mentzen może się tego nauczyć na pamięć, jak swoich wygłaszanych teraz przemówień, ale kampania to tylko kilka miesięcy. Nie pięć lat w złotej klatce pałacu prezydenckiego.

Mówi się, że konfederaci Mentzena i Bosaka chcą wejść w sojusz z prezydentem Dudą i jego drużyną oraz młodymi parlamentarzystami z PiS. Stworzyć blok wyborczy w przyszłych wyborach parlamentarnych. Zrobić wtedy dobry wynik.

Potem zaprosić do koalicji rządzącej obrotowy PSL i starówkę PiS. Ale na własnych warunkach. Najlepiej już bez odesłanego na polityczną emeryturę prezesa Kaczyńskiego i staruchów z jego zakonu PC.

Jeśli Karol, kandydat prezesa, przegra wybory prezydenckie, to przyśpieszy odejście starego prezesa. Jeśli Karol wygra, to tylko dzięki głosom zwolenników Konfederacji. Dlatego za konfederackie poparcie odda, mocą wcześniej podpisanej umowy, skonfederowanym sojusznikom część swej władzy.

Mówi się, że wygrana Rafała Trzaskowskiego nie zdołuje konfederującej się polskiej młodszej prawicy. Rząd Tuska pokazał, że można przeczekać wrogiego prezydenta. Ale premier Tusk też młodzieniaszkiem nie jest. Też może odejść na polityczną emeryturę. Dlatego skonfederowana prawica gra na czas. Nie liczy godzin, dni. Wierzy, że jutro należy do niej.

PIOTR GADZINOWSKI

MÓŻDŻEK TYGODNIA

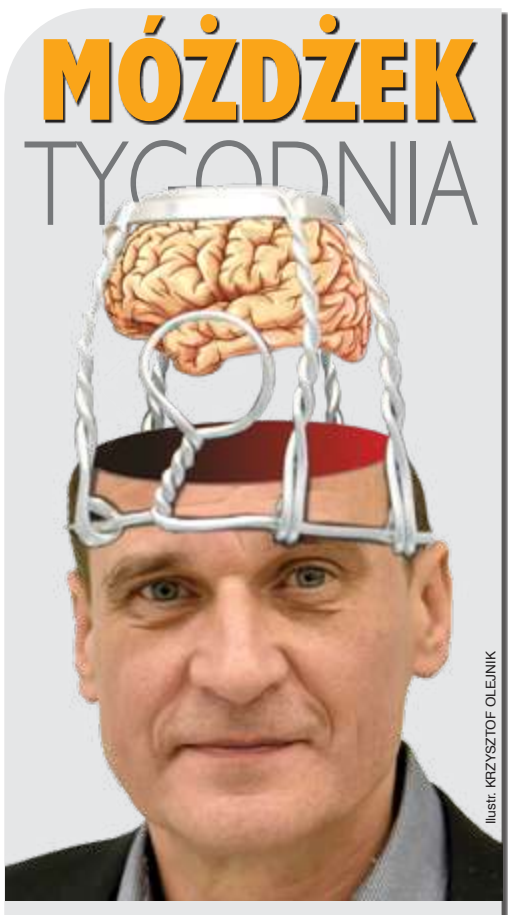

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kaczyński chciałby wieszać Giertycha, Nawrocki bez wazeliny wślizguje się w dupę Trumpa, Mentzen tylko by rodził i rodził, a Kukiz? Degustuje czerwone czy białe? Kosztuje bursztynową? Próbuje przezroczystej?

Paweł Kukiz, poseł wybrany z listy Prawa i Sprawiedliwości, nieważne, czy pije, czy nie pije, ważne, że przy okazji miewa przemyślenia. Oto kilka myśli wybranych z wypowiedzi Kukiza w programie „Rymanowski Live" na YouTubie:

– To, co się dzieje w tej polityce... ustrój dramatyczny, ludzie głupieją. Naród jest ogłupiony propagandą, mediami, zmniejsza się liczba ludzi myślących, zwiększa podatnych na propagandę. Lud polski jest potwornie ogłupiony i to zaczyna przechodzić w dziedziczną głupotę.

– [Polacy] będzie to naród debili.

– Czasami lepiej jest, żeby trochę tej krwi popłynęło, niż ma się cały czas sączyć.

– Rewolucji w tej chwili bym nie chciał. Jeśli już, to powinna być aktem świadomym. Ta tzw. masa powinna mieć elementarną świadomość.

Tymczasem świadomość obywateli jest „marna" lub wręcz „żadna". W związku z tym w pierwszej turze wyborów prezydenckich Kukiz będzie głosował na Marka Jakubiaka, a w drugiej na Sławomira Mentzena, jeśli Mentzen do niej wejdzie.

Zum Wohl!

eprasa.pl 9d63dd6775

PLURALIS MAIESTATIS

Kaligula z Żoliborza

W oparach wielkanocnej amnestii

Jarosław Kaczyński zaapelował o specjalne posiedzenie sejmu poświęcone „humanitaryzmowi w demokracji walczącej”. Resztę znacie… Tymczasem mecenas Roman Giertych ogłosił na X (6 kwietnia), że jeśli wybrani parlamentarzyści PiS (Kaczyński i Arent – jednak za burtą) biorący udział w sejmowej zadymie go publicznie przeproszą, to nie będzie ciągał ich po sądach. Nazwał to amnestią wielkanocną: „Apeluję do tych posłów, którzy mogą skorzystać z tej amnestii: przeproście, abyście potem nie płakali, gdyż przyjdzie wam płacić za swe czyny. Przeproście też dlatego, że zrobiliście coś złego. Ja też mam rodzinę. Wyobraźcie sobie, co by wasi najbliżsi czuli, gdyby taka sytuacja was spotkała. Kaczyński was zwiódł, bo boi się sprawy karnej, która przybrała dla niego niekorzystny obrót. I wciągnął was w ten swój strach i nienawiść. Nie bójcie się go. On już żadnych list wyborczych ustawiać nie będzie, bo nieuchronnie spotka go, do następnych wyborów, surowa sprawiedliwość. Liczę na to, że się zreflektujecie”.

Szczerze mówiąc, na refleksję to ja bym nie liczyła. A strach i nienawiść – ta podwójna helisa prostaków – mają to do siebie, że zarażają prędko niby *variola maior*, a trzymają się dłużej niż siedmiodniowy katar. Co ciekawe,

najbardziej uodporniony na to gówno wydawał mi się sam Kaczyński, inteligencik z Żoliborza, który był jego rezerwuarem. A tu proszę, zajzajer się przebił i Kaczor z gracza zamienił się w podskakującą piłeczkę kauczukową.

Tak czy siak, przyznam, że nie za bardzo widzę Kaczyńskiego w pierdlu. Ale ja jestem człowiekiem małej wiary.

Z amnestii wielkanocnej też bym nie korzystała – wpis ma bardziej znaczenie propagandowe podbijające panikę w szeregach wroga niż realne, prawne. Z drugiej strony nie wszyscy lubią się bujać po sądach, a większość to chyba jednak zdecydowanie nie lubi. Nikt wam do jajec elektrod akumulatora nie przypnie – możecie iść w zaparte i czekać na rozwój sytuacji. Co nagle, to po diable i takie tam… I napisałam to przy całej sympatii dla mecenasa Giertycha, a dokładniej jego felietonistyki – książki Giertycha stoją u mnie na półce obok wszystkich tomów Jonathana Franzena (pisarz nagrodzony Whiting Writers Award w 1988, stypendium Guggenheima w 1996 i American Academy’s Berlin Prize w 2000, National Book Award 2001). Zacne towarzystwo. Ja, pisząc to, co napisałam, znajduję się w zdecydowanie mniej zacnym, bo prezydenta Dudy, który odnotował po drace (X, 2 kwietnia): „Nie dajcie się! Nie pozwólcie sobie odebrać tego, co ważne i przeniknięte Dobrem!”. Przeniknięta Dobrem to ja jestem w czasie dobrego ruchania, więc zasnę spokojnie. A co napiszę, to napiszę…

Kaczyński w więzieniu? Aby go uniknąć, mógłby udać dementa albo szmergla, pomroczności jasne, ciemne, całkowite zaćmienia, ale tym samym traci wszelkie szanse na konne pomniki od potomnych. Zależy mu? Tak. W dodatku myślę tutaj o sprawach o naprawdę poważne zarzuty, a nie o to, że się poważnie zapienił i podpadł pod znieważenia funkcjonariusza publicznego wykonującego swoje obowiązki służbowe (art. 226 kk.)… Przewały finansowe, o to, to, to… To może być nieznośny ból dupy. Trzeba kupić dobre siodło, bo koń narowisty… Co mi przypomina, że grób cesarza szaleńca, który zrobił własnego ogiera senatorem, zlokalizowano dopiero z 15 lat temu w Nemi. I znaleźli go złodzieje, a złodzieje (z głową cesarskiego posągu, ale nie konnego, choć i taki akurat istnieje) włoska Gwardia Finansowa… Senatora konia Incitatusa (łac. Szybki) karmiono owsem z płatkami złota. Posła konia o ksywie Wujek najwyraźniej zadowoli tylko i wyłącznie wątroba Kaczyńskiego. I będzie to tortura – ale raczej dla podniebienia mecenasa Giertycha. Kaczyński nie wygląda mi na smacznego. Aczkolwiek z sadystyczną przyjemnością się tej konsumpcji będę przyglądać. Co zaś do innych nawiedzonych z PiS, którzy darli japę – odpuść Pan, mecenasie Giertych, po co się rozdrabniać? Mączniki to nie złoto, zapychają brzuszek. A pluskwy przenoszą gronkowca złocistego.

IZABELA SZOLC

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Zamieszanie wokół składki zdrowotnej

Jak dorżnąć lecznictwo

4 kwietnia br. Koalicja Obywatelska i Trzecia Droga przegłosowały – wbrew Lewicy, Razem i PiS-owi, przy sprytnie wstrzymującej się od głosu Konfederacji – obniżenie składki zdrowotnej od 1 stycznia 2026 r. dla 2,45 mln biznesmenów.

Warto przelecieć się lotem koszącym nad tą kwestią, gdyż rzecz idzie nie tylko o miliardy złotych rocznie, ale o sprawę fundamentalną: kto finansuje usługi państwa, włącznie z czymś tak podstawowym jak leczenie ludzi.

Tonący brzydko się chwyta

Trzecia Droga, dogorywający na naszych oczach sojusz Polski 2050 i PSL-u, rozpaczliwie walcząc o odrobinę uwagi wyborców, postanowiła zrobić dobrze tym, którzy i tak mają się dobrze, czyli biznesmenom. A że przy okazji rozpierdoli się budżet, pogorszy jakość usług medycznych, zwiększy obciążenia podatkowe dla pracujących na etat? Cóż, jak by powiedział Zygmunt Bauman, są to straty uboczne, nad którymi można przejść do porządku dziennego.

Minister finansów Andrzej Domański to człowiek o dużym poczuciu humoru – bo nie podejrzewam go, że jest misiem o bardzo małym rozumku – stwierdził bowiem, że te prawie 5 mld zł mniej ze składki zdrowotnej rocznie nie uszczupli zasobów NFZ, gdyż on załata tę dziurę z budżetu. Jasne, że nie ze swoich da, lecz z naszych, uczciwie płacących podatki. Innymi słowy: na prezent dla przedsiębiorców zrzucą się etatowcy. Minister finansów olał sprzeciw szefowej resortu zdrowia Izabeli Leszczyny, zauważającej, że NFZ z pewnością tego nie udźwignie.

Naczelna Rada Lekarska skrytykowała projekt obniżenia składki, trzeźwo mówiąc, że jest on nieodpowiedzialny i pogłębi kryzys finansowania systemu ochrony zdrowia. Trudno odmówić racji medykom wskazującym, że powinniśmy – w obliczu bezprecedensowo szybko starzejącego się społeczeństwa – iść w przeciwnym kierunku, czyli zwiększać nakłady, wprowadzać nowe techniki i metody terapii. I wreszcie zakończyć te cholerne zbiórki na leczenie dzieciaków, których zdrowie i życie jest dla NFZ zbyt kosztowne!

Frajerzy na etacie

Zacznijmy od tego, że tzw. składka zdrowotna nie jest żadną składką, lecz podatkiem. Składka sugeruje, że w zależności od wpłacanych środków będziemy mieć za nią taką to a taką jakość świadczeń. A zgodnie z konstytucją zarówno miliarder, jak i bezrobotny mają – w teorii przynajmniej – takie samo prawo do publicznej opieki medycznej.

O tym, jak hojne chce być państwo polskie dla przedsiębiorców, niech świadczy to, że gdy zmiany wejdą w życie, będą oni często płacić składkę zdrowotną miesięcznie w wysokości zaledwie 380 zł zamiast… 1100 zł!

Wiceminister zdrowia Wojciech Konieczny na antenie radia TOK FM podważył szacunki dotyczące kosztów planowanych zmian. Owe zapisane w projekcie 4,6 mld to kupa kasy, lecz nie bierze pod uwagę, że zachęceni niższymi daninami na rzecz państwa Polacy będą masowo przechodzić na samozatrudnienie.

Wiceminister Konieczny uderzył w ostre tony: – Myślę, że najbardziej uderzające jest to, że idziemy w zupełnie przeciwnym kierunku z tym projektem, niż w ogóle idzie państwo. Tutaj jakbyśmy płynęli okrętem w jedną stronę, a łódeczkę wypuszczali w drugą, w górę rzeki, a płyniemy w dół. To znaczy mamy kraj przygotować na trudne czasy, mamy szereg inicjatyw, które mają zwiększyć naszą obronność, naszą odporność w czasach kryzysu, to żeby naród, żeby społeczeństwo, żebyśmy byli gotowi. I jedna dziedzina życia, to znaczy ochrona zdrowia, nagle jest z tego wyjęta. Nagle mamy taki świat, w którym wszystko jest dobrze, mamy prosperity, mamy zapewniony spokój. Możemy teraz optymalizować, zmniejszać, ograniczać.

Trudno odmówić Koniecznemu racji. Jeżeli, jak powtarzają politycy na każdym kroku, Putin już czyha, aby zdradziecko nas napaść, to przecież przed służbą zdrowia staną bezprecedensowe wyzwania. Wiceminister powołuje się na przykład Niemiec, w których coraz szerzej dyskutuje się, że w obliczu potencjalnych wojennych czasów konieczne jest dofinansowanie, szkolenie personelu i rozbudowa infrastruktury medycznej.

Konieczny zwrócił uwagę na jeszcze jeden paradoks proponowanych zmian: – Jak można udawać, że żyjemy w takim świecie, że społeczeństwo na to nie odpowie? Odpowie. Na przykład pielęgniarki na to odpowiedzą. Zatrudnią się na takich umowach, jak to zrobili lekarze. 80 proc. lekarzy dzisiaj pracuje na samozatrudnieniu i nie płaci wysokich składek, nie płaci wysokich podatków. Więc ten kraj jeszcze straci. I oczywiście już nie mówię o ZUS-ie, który też dostanie mniejsze składki zusowskie na nasze emerytury. Więc to jest cała kaskada uruchomiona tym projektem.

Wyścig na dno

Trudno odmówić słuszności Patrykowi Słowikowi z Wirtualnej Polski, który rozprawił się z dwoma mitami dotyczącymi polskiej opieki zdrowotnej.

Pierwszy, nazwijmy go konfederackim, neguje sensowność płacenia składki, skoro i tak w razie czego za wszystko trzeba płacić prywatnie. Rzecz w tym, że prywatnie leczymy drobne dolegliwości, lecz nie nowotwory czy poważne schorzenia neurologiczne. Wcześniaki nie leżą też na noworodkowych OIOM-ach w klinikach prywatnych.

Drugi mit uznaje, że NFZ to studnia bez dna, marnująca publiczne pieniądze. Rzecz w tym, że publiczne nakłady na służbę zdrowia wśród państw rozwiniętych – jako procent PKB – są jednymi z najniższych. Jak pisze Słowik: „Mówiąc więc wprost – płacimy na ochronę zdrowia mniej niż Czesi, mniej niż Słowacy, mniej niż Grecy, mniej niż Estończycy. Ba, płacimy mniej niż będący poza UE Gruzini. Dlaczego więc oczekujemy od państwowego systemu ochrony zdrowia funkcjonowania na poziomie niemieckim, francuskim czy holenderskim? Skoro płacimy niemal najmniej, dostajemy w zamian za to produkt niskiej jakości”.

Najnowszy sondaż CBOS-u pokazuje, że coraz bardziej słabnie zaufanie do publicznej opieki zdrowotnej. Jedynie 31 proc. respondentów pozytywnie ocenia działalność NFZ, negatywne zdanie o Funduszu ma aż 62 proc. Polaków. To otwiera pole do dalszego głodzenia publicznej służby zdrowia, o której w sposób najbardziej krytycznie wypowiadają się wyborcy Trzeciej Drogi (71 proc. negatywnych ocen) i Konfederacji (72 proc.).

Jak widać, niespełniony prezydent Hołownia, a także poduszczona przezeń większość uśmiechniętej koalicji rządzącej chcą przejść do historii jako grabarze systemu ochrony zdrowia…

ZUZ

Życie w dobrobycie

● Przed wyborami w 2023 r. Donald Tusk zapowiadał: „Mamy wszystko dokładnie policzone i każda z danych naszych 100 gwarancji zostanie spełniona w pierwsze 100 dni naszego rządzenia, natychmiast i bezwarunkowo. Zlikwidujemy drożyznę, obniżymy cenę gazu i prądu o połowę, benzyna będzie po 5 zł, a kwota wolna od podatku wyniesie 60 tys. na rok, bo wiemy, jak to zrobić. Gwarantuję to państwu”. Po kilkunastu miesiącach nie ma nawet wolnych od PIT 60 tys. zł, dzięki którym w kieszeniach każdego z nas mogło zostać 300 zł miesięcznie. O najdroższej obecnie w Europie polskiej energii nie wspominając.

● Chyba przez to dobrobyt leci w dół. Zysk firm spoza branży finansowej, czyli produkcyjnych, handlowych, transportowych i usługowych, spadł w 2024 r. aż o 24 proc. Same tylko przychody ze sprzedaży spadły o 2,9 proc. Skoro nie ma zysków, to nie ma z czego robić podwyżek dla pracowników. Tym bardziej że pracownicze wynagrodzenia razem ze składkami stanowią już 20,2 proc. wszystkich kosztów firm w porównaniu do 18,2 proc. rok wcześniej. Z braku zadowalających zysków spadają też inwestycje firm. Spadek ten liczony rok do roku wyniósł 7,8 proc. Na nowe budynki wydano o 13,4 proc. mniej, na maszyny i urządzenia o 4,9 proc., a na środki transportu o 2,4 proc. mniej.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

● Wygląda na to, że w tym roku zyski tych firm nie wzrosną, choćby dlatego, że produkcja przemysłowa w Polsce przez rok spadła o 2 proc. Co świadczy o tym, że polski przemysł nie może wydobyć się z trzyletniej stagnacji. Ba, firmy sprzedają swoje wyroby coraz taniej, bo ceny produkcji przemysłowej poleciały w dół w ciągu 12 miesięcy o 1,3 proc. To zaś świadczy, że tego, co robią fabryki, nikt za bardzo nie chce kupować. Najlepiej ujemny boom gospodarczy widać w motoryzacji. Produkcja samochodów osobowych w Polsce poleciała przez ostatni rok na pysk aż o 76,6 proc. Spadła też, choć nie aż tak mocno – bo o 8,3 proc. – produkcja baterii do samochodów elektrycznych.

● Żeby było jeszcze ciekawiej, HSBC – jeden z największych światowych banków, ogłosił zwolnienia grupowe w swoim krakowskim centrum usług. Blisko 200 osób straci pracę w ramach restrukturyzacji. Powodem zwolnień

eprasa.pl 9d63dd6775

Albośmy to...

Porady dla kandydatów

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

A gdyby tak kampania wyborcza polegała na mówieniu rodakom prawdy? Oto, co moglibyśmy usłyszeć od kandydatów…

Zapachy polskości

Chińczycy dali światu porcelanę i jedwab, Egipcjanie – piramidy, Włosi – pizzę, Francuzi – bagietki. A Polacy? Właśnie. Wiadomo nie od dziś, że polska duma narodowa to to, co najlepszego światu daliśmy. No bo jaki jeszcze wkład w światową cywilizację mają nasi krajanie?

Polskość na świecie mnóstwo ludzi wiąże z grillowaniem. „My Polacy uwielbiamy grillować" – twierdziła portugalska sieć sklepów. Przypalone mięso i kiełbasa stały się polską wizytówką. Jak jesteś w ośrodku turystycznym w Chorwacji albo we Włoszech, to możesz być pewny, że mimo 33 stopni Celsjusza i stojącego powietrza owionie cię zapach spalenizny. A chwilę potem usłyszysz radosne:„Kurwaaa, znowu się przypaliło". Palenie mięsa na blaszanych ogniskach wynosi się z domu. Mimo iż już niemal każda wspólnota i spółdzielnia mieszkaniowa wpisała do regulaminu mieszkańców zakaz smrodzenia na balkonach, to prawdziwy Polak, brzydząc się takimi ograniczeniem swobody obywatelskiej, realizuje się balkonowo w zanieczyszczaniu atmosfery dwutlenkiem węgla, a swojego organizmu jedynym, co zawsze w czasie grillowania się udaje, czyli dioksynami.

Gdy kilkanaście lat temu skarpeto-sandały stały się przebojem sezonu w Wielkiej Brytanii, publicysta z „The Evening Sun" błędnie przypisał stworzenie tego trendu emerytowanym Niemcom. To oczywista nieprawda, bo gdy temperatura za oknem przekracza 20 stopni, prawdziwy Polak mówi do swojej żony Matki-Polki: „Daj mi nowe skarpety, pójdę w sandałach!". Gdy temperatura zbliża się do 30 stopni, ten sam manewr wykonuje się w klapkach. Skarpety muszą być białe i najlepiej frotté.

Najstarsze dowody na noszenie skarpet do sandałów pochodzą z grobu faraona Tutanchamona (zmarłego w 1323 r. p.n.e.). Obok 81 par różnego rodzaju sandałów odnaleziono tylko trzy pary dwuwarstwowych lnianych skarpet. Archeolodzy przypuszczają, że taki strój mógł być używany podczas jazdy rydwanem.

Polskim sportem narodowym, wbrew powszechnej opinii nie jest futbol, ale parawaning. Wymaga kondycji i samodyscypliny. Przebieg gry jest następujący: wraz ze wschodem słońca skrzydłowy rozstawia bazę położoną jak najbliżej morza, a jednocześnie na tyle daleko, aby dało się niepostrzeżenie obalić kilka puszek. Główny rozgrywający, czyli rodzina skrzydłowego, musi zdobyć bazę przed świtem, aby nie padła ofiarą licznych drużyn przeciwników. Napastnik zamiast jeść z rodziną śniadanie, zajmuje o brzasku grajdołek i czeka, aż reszta familii przyniesie mu coś ze stołówki i nie zapomni o premii w postaci browara.

Zwyczaje stad osób, które jadą nad Bałtyk, ażeby publicznie załatwiać potrzeby fizjologiczne na wydmach i do morskiej wody, a także śmierdzieć starym tłuszczem ze smażalni i paradować bez koszulek, są tak stare jak odrodzona Rzeczpospolita. Najbardziej rozpowszechniły się wraz z władzą ludową. Ich rozwój nastąpił jednak, gdyśmy komunę obalili. Od tej pory parawaning, połączony z defekowaniem na wydmach, bekaniem po browcu i prezentowaniem nieapetycznych torsów stał się wizytówką polskiego wybrzeża od Międzyzdrojów po Piaski.

Polskie, czyli jakie?

Prawdziwy Polak wie, że wszyscy na świecie znają papieskie kremówki. Bo przecież mówił o tym papież Polak. A głos papieża Polaka docierał do wszystkich. Stąd w Wadowicach w każdym sklepie i każdej cukierni występuje sakralne ciastko z kremem. Tyle tylko, że oryginalne wadowickie kremówki, o których bełkotał Wojtyła, były przekładane budyniem, a nie kremem śmietankowym, a poza tym świętemu chodziło o ingrediencję dlań bardziej zasadniczą niż krem i ciasto, czyli spirytus. Nie wspominając już o tym, że te jedzone przez młodego Karola wyrabiał rodowity Austriak, a na dodatek ciastka nosiły wtedy nazwę napoleonka.

Z mlekiem matki Polak każdy wysysa wieść, że Maria Skłodowska to największa polska uczona, dzięki której świat dostał urządzenia do radioterapii zwalczającej raka. Sęk w tym, że na świecie naukowczyni ta znana jest jako francuska dwukrotna noblistka nazwiskiem Curie. Zaś współczesny polski wkład w onkologię sprowadza się do tego, że od lat jesteśmy największym krajem europejskim, gdzie można zwozić studentów medycyny z całego świata, by pokazać, jak wygląda coś, czego u nich zobaczyć nie można: pełnoobjawowego raka szyjki macicy w ostatniej fazie wzrostu.

Czy wiecie, co to znaczy „Hen ba ix xia jao o ho ho ho"? Jeśli tak, to daliście się nabrać niegdysiejszemu wciskaniu kitu przez Bayer Full. Bo to coś to „Majteczki w kropeczki"! Hit miał zawędrować aż za Wielki Mur i reprezentować polską muzykę na wystawie światowej Expo 2010 w Szanghaju. Do Chin nie dotarł Penderecki, ale – jak głosiła fama – piracką płytę z disco polo kupić można było w każdym większym mieście. Bayer Full decyzją chińskiego Ministerstwa Kultury odbył też ponoć wielką trasę koncertową po Państwie Środka, podczas której grał złote przeboje obu nacji. Muzyczny podbój Chin po kilku latach okazał się nieźle przeprowadzoną w Polsce kampanią reklamową, bo zespołu w Państwie Środka nie kojarzyli nawet ci, którzy załapali się na któryś z jego darmowych koncertów.

Kilka lat temu w Auschwitz-Birkenau, czyli miejscu upamiętniającym ofiary nazizmu, można było złapać Koffinga – pokemona emitującego wokół siebie chmurę gazu. Dzięki niemu polska placówka stała się prawie tak sławna jak Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, choć i ono też mało problem z nadmiarem zwiedzających zasadzających się na Koffinga. Pokemony były jednak niczym w porównaniu do oświęcimskiego wkładu w naukę ekonomii sprowadzającego się do twierdzenia, że zero złotych równa się około stu złotych. Statut muzeum w Auschwitz zabrania pobierania pieniędzy za bilety. I dlatego bilety są bezpłatne. Jednak zwiedzać obiekt można jedynie z przewodnikiem, za którego Polak, płacąc kilkadziesiąt złotych, i tak ma lepiej od obcokrajowca, dla którego cena jest wyższa o 40 proc.

O Powstaniu Warszawskim pamiętamy! I każdy wie, że świat też pamięta. Ale jak ktoś wejdzie w dyskusję z obcokrajowcem, to okaże się, że największy sukces militarny Narodu Polskiego według nas rozpoczął się 1 sierpnia 1944 r., natomiast dla reszty świata powstanie w Warszawie rozgorzało 19 kwietnia 1943 r. Zresztą

poza kilkoma fanatykami historii nikt z zagranicy nie ma zamiaru słuchać w stolicy Polski jakiegoś historycznego trucia, bo jeśli jest biznesmenem, to w ciągu dnia ma robić szmal, a nocą kopulować, co się nawinie. Jak jest młodzieżą na wymianie, to łoi piwo i wódę, i też kopuluje.

Jeśli jest Ukraińcem, to batalistyczną historię ma u siebie. I właśnie dlatego pamięć o tych 63 dniach trwa i trwa mać.

Herosi sportu

80 proc. Polaków uczęszczających do aquaparków i innych pływalni przyznaje się do sikania do basenu. Dwakroć więcej, niż wynosi średnia unijna. A to dlatego, że na świecie ludzie nie sikają tylko dlatego, że boją się, że zostaną złapani. Wykształcony w polskich szkołach obywatel wie zaś doskonale, że jedno sikanie to może promil wody w basenie. A poza tym mocz zdrowego Polaka czy Polki jest bakteriobójczy i zdrowy. Wszak podczas powstań i wojny sikano na otwarte rany, żeby uchronić rannego przed zakażeniami. A poza tym przecież nawet niemowlak jest świadom, że woda w basenie jest cały czas filtrowana i nikt nie wymyślił substancji, która w zetknięciu z moczem barwiłaby się na jakiś kolor. Nie ma zatem możliwości, by komukolwiek można było coś udowodnić.

Tym, co każdego obcokrajowca zwala w Polsce z nóg, są szklanki ze słoików. Zaczęło się od musztardy za Gomułki. Musztarda w szklanym 200-gramowym opakowaniu kosztowała mniej niż szklanka. Wystarczyło wywalić zawartość i było w czym spożywać gorzałę. Wraz z nastaniem kapitalizmu musztardówka przepadła w mrokach historii, ale zastąpiła ją nutellówka. Funkcjonalnie jest taka sama. Szwajcarzy poprawili jednak design i na pierwszy rzut oka nikt nie powie, że w tradycyjnym polskim domu herbatę podaje się w opakowaniu po kremie czekoladowym. Herbatę parzoną rzecz jasna po turecku, czyli lejąc wrzątek na liście.

Niemal każdy Polak jest przekonany, że cały świat uznaje, że ostatnie ćwierć wieku to czas chwały polskich skoków narciarskich. A Małysz, Stoch, Kubacki czy Żyła to herosi rozpoznawalni niczym Usain Bolt. Nikt nigdy nie wytłumaczył naszym rodakom, że skoki to sport, którym na świecie nie interesuje się niemal nikt; abstrahując już od tego, że polscy reprezentacyjni skoczkowie są w takim wieku, że wkrótce będą skakać o lasce.

Całkiem inaczej ma para polskich sportowców, która może nakręcać polską dumę i których nazwiska mówią coś ludziom w niemal każdym kraju, poza może Koreą Północną. Gdy jednak za granicą wymawia się po polsku Iga Świątek, to nikt nie wie, o kogo chodzi, bo dziewczyna ma wybitnie niemiędzynarodowe nazwisko. Całkiem odwrotnie jest z Lewandowskim. To nazwisko bezbłędnie może być wymieniane tak w Arabii Saudyjskiej, jak i w Hondurasie. O ile jednak telewidzowie na całym świecie wiedzą, że Świątek jest z Polski, to gdy chodzi o Lewandowskiego, to jego polskość jest przyćmiona nazwami klubów, w których gra.

Ktoś może do polskiego dorobku ludzkości dorzucić Kopernika i Chopina. I słusznie, tyle że ten drugi na świecie uchodzi za Francuza, Kopernik zaś nie dość, że była kobietą, to jeszcze najprawdopodobniej nie mówiła po polsku.

Nikt nie wie, dlaczego jedynym polskim wyrazem, który wszedł do języka angielskiego w wersji amerykańskiej – czyli ogólnoświatowego – jest słowo pogrom.

TOMASZ BOROWIECKI

jest „przeniesienie do innych centrów usług Grupy HSBC niektórych procesów dostarczanych przez firmę, redukcji kosztów prowadzonej działalności oraz realizacji jej długoterminowych celów". To zaś niekoniecznie prawda, bo HSBC jest chiński, a Polska głosowała parę miesięcy temu za wprowadzeniem w Unii wysokich ceł na chińskie samochody. W związku z czym chińskie firmy albo jak producenci samochodów – którzy już mieli z nami podpisane umowy – ogłaszają, że zamiast u nas otworzą fabrykę w Hiszpanii, albo jak HSBC wycofują się z Polski pod byle pretekstem.

● Wcale nie z powodu Chińczyków parlament przyklepał ostatecznie zmiany w ustawie o zatrudnianiu cudzoziemców. Te zaś są nader korzystne dla pracodawców. Jedna z nich zakłada skreślenie przepisu dotyczącego podwyższenia kar za łamanie prawa pracy, dzięki czemu za zatrudnianie kogoś na czarno nie będzie groził śmieszny mandat w wysokości 3 tys. zł, ale jeszcze śmieszniejszy, bo wart 1 tys. zł. Za sprawą drugiej poprawki agencje pracy tymczasowej będą zatrudniać cudzoziemców nie na etat, ale na podstawie umów cywilnoprawnych. Czyli śmieciówek, z którymi rząd ten obiecywał przecież skończyć.

● Zarówno zwalniani i robieni w konia pracownicy, jak i firmy, z którymi inne firmy zrywają kontrakty, na sprawiedliwe wyroki sądów się nie doczekają. Rośnie wszak średni czas oczekiwania na wyrok sądu I instancji w sprawach cywilnych procesowych, czyli np. gospodarczych, spadkowych, rodzinnych czy pracy. W 2024 r. po raz kolejny się wydłużył. Wynosi teraz prawie 12,9 miesiąca. Rok wcześniej na rozstrzygnięcie trzeba było czekać 11,3 miesiąca. A jeszcze w 2019 r. czekało się na werdykt 9,5 miesiąca, czyli prawie 3,5 miesiąca krócej niż dziś. A ponieważ w Polsce mamy tryb dwuinstancyjny, to dochodzi paroletni proces w II instancji, kończący się często zwróceniem sprawy do I instancji, a potem kolejny raz II instancja, apelacje i kasacje, aż dobijamy tylu lat, że sądzące się strony nie pamiętają już, o co się wadzą. Ale od czego minister Bodnar! Działająca przy nim Komisja Kodyfikacyjna Prawa Cywilnego przyjęła właśnie projekt nowelizacji procedury cywilnej. W nim jest propozycja rozpoznawania zażaleń przez sądy II instancji – zamiast przez inny skład tego samego sądu – oraz rozpoznawania apelacji w składach trzyosobowych – a nie jak teraz przez jednego sędziego. Dzięki tym światłym reformom czekanie na prawomocny wyrok przeciągnie się do Sądu Ostatecznego.

● Mamy zatem kraj, w którym produkcja zaczyna się nie opłacać. Pracować też się nie chce, bo podwyżek nie widać, a wylecieć z roboty można w każdej chwili. Jedyną sprawiedliwością, na którą można liczyć, jest sprawiedliwość dziejowa. I właśnie temu krajowi Agencja Moody's, jedna z najbardziej znanych firm zajmujących się oceną wiarygodności kredytowej, potwierdziła długoterminowy rating na świetnym poziomie A2 ze stabilną perspektywą. Ta pozytywna ocena wiarygodności kredytowej wzmacnia wizerunek Polski wśród międzynarodowych partnerów i inwestorów, co przekłada się na łatwiejszy dostęp do światowych rynków kapitałowych oraz może ułatwiać pozyskiwanie inwestycji zagranicznych. Żeby jednak tylko Moody's tak miało? Dokładnie takie same peany na temat polskiej gospodarki i praworządności mają i dwa pozostałe tuzy od ratingów – Fitch i S&P Global. One też przyznają Polsce doskonałe oceny A–. Może więc rzeczywiście jesteśmy tytanem ekonomicznym?

● A może chodzi o to, że mimo iż duża część gospodarki ledwo zipie, to agencje ratingowe patrzą głównie na najbliższe im instytucje z sektora finansowego? Banki zaś w Polsce mają się jak nigdy. W zeszłym roku zarobiły na czysto rekordowe 42 mld zł, czyli o 52 proc. więcej niż rok wcześniej. Prezesi banków w 2024 r. zarobili więc brutto: Michał Gajewski z Santander Bank Polska – 7,1 mln zł, João Brás Jorge z Banku Millennium – 5,4 mln zł, Brunon Bartkiewicz z ING Banku Śląskiego – 5,4 mln zł, Przemysław Gdański z BNP Paribas Bank Polska – 4,8 mln zł, a Elżbieta Czetwertyńska z Banku Handlowego – 4,6 mln zł. Ludzie ci udowodnili więc światu, że Polska jest krajem, w którym jak się chce, to można zarobić, nawet jeśli nie jest się właścicielem, ale pracownikiem najemnym na właściwym stanowisku. Rządowi zaś – że żadna wyższa kwota wolna od podatku potrzebna nie jest.

TTJ

eprasa.pl 9d63dd6775

Bajki dla myślących

Matoły we mgle demokracji

Król jest nagi

Tym razem zacznę mój felieton od listu, jaki otrzymałam od czytelnika „NIE” podpisanego Janik Krzysztof, który pisze: „Szanowna Pani, zauważyłem w Pani artykułach, iż dostrzega Pani wady systemu demokracji. Do Pani pomysłów jego naprawy chciałbym dodać jeszcze jeden. Proponuję, by zapoznała się Pani z ciekawym pomysłem, jaki przedstawiła nam pozaziemska cywilizacja. Proponowany przez nich system nazwali geniokracją i w skrócie polega on na odebraniu prawa wyborczego matołom, a rządy sprawowane są przez tych o najwyższym ilorazie inteligencji. System taki sprawdził się na innej planecie i pozwolił im pozbyć się wojen, obowiązku pracy i umożliwił podróże międzygwiezdne. Cały tekst projektu z ciekawym jego uzasadnieniem można pobrać ze strony internetowej”, którą każdy bystry czytelnik „NIE” oczywiście jest w stanie zlokalizować.

Wskazówki pana Krzysztofa, za które serdecznie dziękuję, zrealizowałam, zasięgając porad owej pozaziemskiej cywilizacji, opisanej we wskazanej książce. Wszak należy korzystać z mądrości obcych cywilizacji, skoro tejże mądrości w naszej brakuje. Geniokracja miałaby być zdaniem autora: „kolegialnym rządem geniuszy, wybieranych w drodze demokracji selektywnej”. Autor wierzy, że ten system działałby dla dobra ludu. Ocenę koncepcji tej pozaziemskiej cywilizacji pozostawiam czytelnikom, którzy sięgną do źródła. Tu pozwolę sobie jedynie zauważyć, że jeśli matoły wybierać będą (nawet selektywnie) geniuszy do władz swojego państwa, to wykluczyć się nie da, że geniuszowi matematyki powierzą pieczę nad osobami z niepełnosprawnością, genialnemu ekonomiście zlecą utrzymanie dobrostanu przyrody, a genialnemu filozofowi polecą nadzór nad produkcją komputerów. Jestem też dziwnie przekonana, że owa elita geniokracji cały swój potencjał bardzo skutecznie (bo inteligentnie) wykorzysta dla zrobienia wody z mózgów obywatelom w celu uzyskania pełniejszej (bo charyzmatycznej) kontroli nad nimi. Wtedy będzie wreszcie jak w każdej dobrej bajce, w której król i królowa będą mogli żyć długo i szczęśliwie, otoczeni swym kochającym (choć niestety dziadującym) ludem.

A tymczasem na naszym ziemskim padole Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) nadzorowała Badania Umiejętności Dorosłych prowadzone pod wdzięcznie brzmiącym akronimem PIAAC. Badania te realizowane są co 10 lat i obejmują obywateli 31 rozwiniętych krajów świata. Najwyższe wyniki uzyskali obywatele krajów skandynawskich i Japonii. Polska, obok Włoch, Portugalii, Litwy i Chile, uplasowała się w grupie krajów o najniższych wynikach. Badanie wykazało, że kompetencje Polaków znacznie pogorszyły się w porównaniu z wynikami, jakie uzyskaliśmy przed 10 laty. Innymi słowy: naród nam zgłupiał. Ażeby nie było wątpliwości... w badaniu mierzono poziom zrozumienia łatwych tekstów, podstawowych działań matematycznych oraz rozwiązywania problemów wynikających ze zwykłych życiowych sytuacji. 39 proc. badanych miało trudności ze zrozumieniem tekstów, 38 proc. – z prostymi rachunkami, a 48 proc. – z ogarnięciem często spotykanych życiowych sytuacji. Kiedy natknęłam się na wyniki tego badania, szczęka mi opadła! A Ty jak się z tym czujesz? Też nie wierzysz? Opis tego badania łatwo możesz znaleźć w sieci.

Zaciekawiło mnie, choć wcale nie zdziwiło, że wyników tego badania nie skomentował żaden przedstawiciel władzy i chyba jak do tej pory żaden z polityków. Bo jak polityk ma skomentować je w kontekście trwającej kampanii wyborczej? Że niby co?! Że wynik wyborów, każdy wynik, jaki by nie był, i tak będzie w świetle tych badań z założenia durny?!

Jednak powyższa konstatacja nie jest tylko powodem do opadu szczęk – to przecież przyczynek do poważnej refleksji. No bo co w takim razie z demokracją, której ja przynajmniej staram się być admiratorką? Demokracja powinna sprzyjać rozwojowi każdego człowieka i zapewniać mu większy zakres wolności indywidualnej niż jakakolwiek inna forma ustrojowa. Demokracja powinna umożliwiać każdemu obywatelowi wyrażenie swojej opinii, gwarantować wolność oraz dawać możliwość odwołania się od decyzji władzy wykonawczej. System demokratyczny powinien sprzyjać względnej równości i społecznej sprawiedliwości. Ale losy demokracji zależą od oddawanych w wyborach głosów. To, co jest istotą demokracji w warunkach dominującej obywatelskiej ciemnoty albo obojętności, staje się jej zagrożeniem. Demokracje umierają nie tylko z powodu przejęcia siłą władzy przez satrapów, ale także zwyczajnie i po cichu z głupoty. Tak działo się już w historii. Tak dzieje się i teraz.

Systemy autorytarne charakteryzują się szybką decyzyjnością, ponieważ rządzący nie muszą liczyć się z opinią innych. Niektórzy są zachwyceni tą cechą autorytaryzmu. Stawiają na szybkość i skuteczność. Podoba im się, że władza w systemach autorytarnych jest skoncentrowana na określonych podmiotach, co umożliwia wprowadzanie szybkich zmian z powodu krótszego procesu decyzyjnego i braku możliwości odwołania. W systemach autorytarnych władza jest skupiona w rękach jednej osoby lub wąskiej grupy, co ogranicza możliwość decydowania społeczeństwa o swojej przyszłości. Ale władza autorytarna, tak jak kapitalizm, większość ludzi niewoli, rani i – jak pokazuje historia – zabija. Może zwolennicy autorytaryzmu wierzą, że to oni właśnie staną się (nie waham się użyć tego słowa) „członkiem” elity autorytarnej władzy, a może po prostu należą do tych durniów, którzy zaniżają wyniki w badaniach PIAAC? Nie wiem. Pewnie jedno i drugie. Ale wiem, że znamy ich nie tylko z naszej sceny politycznej.

Rys. JANUARY

Widoczną słabością demokracji może być jej podmiot, czyli zmanipulowane i niewykształcone społeczeństwo. Szczególnie groźne jest to wtedy, kiedy demokracja jest niepełna, ułomna i w tym sensie pozorna.

Wtedy, kiedy brakuje obiektywnych, publicznych, mądrych mediów, doskonale przygotowanych do swej pracy nauczycieli oraz systemu podejmowania politycznych decyzji, który nie premiuje efektownych polityków, tylko efektowną i mądrą politykę rozumianą jako sztuka rozwiązywania problemów społecznych.

Jaką bajkę teraz trzeba opowiedzieć, aby dać demokracji więcej szans? Może stwórzmy nową wersję bajki Andersena „Nowe szaty króla”. W baśni Andersena dobry król został tak zmanipulowany przez swoje najbliższe otoczenie, że uwierzył, iż ma na sobie piękne szaty, a przecież naprawdę był nagi. Ale znalazła się jedna osoba, która sugestywnej manipulacji się nie poddała i zakrzyknęła: „Król jest nagi!”. I dopiero wtedy ludziom i królowi w końcu opadły łuski z oczu.

W naszej demokracji królem są wyborcy. Wielu z nich wydaje się, że są pięknie i szykownie wystrojeni. Potrzebna jest jakaś bajkowa postać, która pokaże, że to oni są nadzy. Niech opadną z oczu łuski! Może choć w bajce nie pozwolą umrzeć demokracji.

ANNA GRODZKA

SŁOWO CZERWONE

Kto tu rządzi?

Zza fasady demokracji wyziera władza kapitału

Przywykliśmy sądzić, że krajem rządzą politycy. Że to oni tworzą system, w którym żyjemy. Gdyby tak rzeczywiście było, mielibyśmy coś w rodzaju demokracji. Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że politycy są tylko fasadą, a kto inny pociąga z sznurki wprawiające w ruch aktorów sceny politycznej. Ta ukryta władza kapitału, korporacji, tylko wyjątkowo się ujawnia. Jak w słynnej interwencji pani ambasador Mosbacher, która w imieniu i w interesie korporacji Uber zabroniła Polsce uregulowania rynku transportowego. Zwykle robią to mniej bezczelnie, dyskretniej.

Choć nie zawsze udaje się ukryć powiązania polityków z wielkimi lobbystami. Szef PSL-u wraz ze swoimi dwoma partyjnymi kolegami spotkał się z prezesem Philip Morris International, jednego z największych koncernów tytoniowych na świecie – wynika z informacji Wirtualnej Polski. Do spotkania doszło w trakcie prac legislacyjnych nad ustawą antytytoniową. Ministerstwa zarządzane przez PSL starają się storpedować projekt ustawy.

Innym przykładem wszechwładzy korporacji jest skuteczne blokowanie przez koncerny farmaceutyczne wprowadzania do obrotu leków generycznych będących zamiennikiem leku oryginalnego, zawierającym tę samą substancję czynną. Takie leki mogłyby uratować życie milionów ludzi, bo są wielokrotnie tańsze. Średnia cena tabletki leku generycznego w Polsce wynosi 10 eurocentów i jest jedną z najniższych w UE. Ryzykujemy jednak, że stosując tańsze leki, stracimy dostęp do całego szeregu innych leków koncernu, który je wytwarza. Koncerny bardzo często trzymają rządy za gardło. Gdy firma mówi, że wycofa się z kraju, rządzący najczęściej odpuszczają. Żaden polityk nie chce wziąć odpowiedzialności za potencjalne problemy pacjentów. Pod presją uginają się też media, które wycofują publikacje z powodu złości koncernów farmaceutycznych – często hojnych reklamodawców.

Media nie żyją już ze sprzedaży, lecz głównie z reklam. I to reklamodawcy – zazwyczaj duże koncerny – stanowią nowy rodzaj cenzury. Mechanizm jest prosty: krytykując jakąś korporację, gazeta czy portal naraża się na utratę reklam, a to może podważyć jego finanse. Inaczej mówiąc, im koncern jest bogatszy, im więcej wydaje na reklamę – tym mniejsze szanse, że media się dobiorą do jego nieetycznych praktyk. To jedna z odpowiedzi na pytanie, dlaczego władza kapitału nad państwami z pozoru demokratycznymi jest niedostrzegalna.

W czasach, gdy byłem posłem, w latach 90., do koła poselskiego Polskiej Partii Socjalistycznej wszedł facet z koncernu Rockwell. Chciał „porozmawiać” o wyposażeniu naszych śmigłowców bojowych w osprzęt elektroniczny tej firmy. Został w trybie natychmiastowym wyproszony. Wątpię jednak, by wszystkie kluby i koła poselskie były równie niegościnne. Zaopatrzenie armii to najbardziej nierozpoznany rynek – i obszar lobbingu, gdzie w grę wchodzą olbrzymie budżetowe (nasze) pieniądze bez żadnej rzetelnej kontroli. Wszystko pod osłoną tajności i poufności.

Wygląda na to, że konstrukcja naszego budżetu odbywa się w rytmie rozmów naszych polityków ze światowymi koncernami.

Wreszcie sam rynek finansowy to oczywisty dowód na władzę pieniądza. Kiedy w 2011 r. ustawodawca zniósł ustawę antylichwiarską – penalizującą pożyczkodawców, jeśli koszty dodatkowe przekraczały 5 proc. sumy pożyczonej – straszą, że przerzucą koszt ewentualnego podatku na pożyczkobiorców. Ale przecież jest jeszcze inne, logiczniejsze wyjście: uszczuplić zyski akcjonariuszy.

do Polski napłynęły firmy lichwiarskie z całego świata. Jednocześnie zamrożono progi dochodowe do pomocy społecznej, napędzając lichwiarzom klientelę. Trudno sobie wyobrazić, żeby takie eldorado dla międzynarodowych firm lichwiarskich stworzono bezinteresownie.

Zanim ta operacja pozwalająca masowo zarabiać na polskiej biedzie doszła do skutku, z pewnością były w ruchu walizki z pieniędzmi, spęczniały konta polityków w rajach podatkowych.

Sektor bankowy w Polsce notuje rekordowe zyski. Jednak próba opodatkowania go napotyka na zdecydowany i skuteczny opór. Banki

Rekordowe zyski banków wynikają z absurdalnie dużej różnicy między oprocentowaniem kredytów i oprocentowaniem lokat. Banki to swoiste państwo w państwie. Kryzys związany z pseudofrankowymi kredytami trwał tak długo tylko dlatego, że cały ten sektor wymyka się demokratycznej kontroli.

Teoretycznie nad prawidłowością i legalnością działalności banków ma czuwać Komisja Nadzoru Finansowego. Jednak ta kontrola jest dość iluzoryczna, skoro członkowie KNF mogą w pełni legalnie przechodzić z komisji do sektora bankowego. I dlatego często nagrodą za przymykanie oka jest posada w zarządzie któregoś z „nadzorowanych” banków.

Bardzo często skandaliczne warunki zatrudnienia i pracy wymykają się kontroli państwa – jak choćby te w Amazonie, gdzie pracownicy, sterowani przez komputery, muszą przemierzać w wyśrubowanym tempie coraz to większe dystanse w ciągu jednej zmiany.

Rys. MARCIN CHUDZIK

To centrala portugalskiego koncernu zadecydowała, że pracownicy Biedronek są zmuszani pracować do jedenastej w nocy, choć nie wynika to z żadnych uzasadnionych przyczyn poza zwiększeniem zysków zagranicznego konsorcjum.

Wreszcie: deweloperzy i banki skutecznie blokują budownictwo społeczne. Sam prezes Jarosław Kaczyński poskarżył się, że program „mieszkanie plus”, w ramach którego miało powstać od dwóch do trzech milionów brakujących mieszkań, został zablokowany przez lobby deweloperskie. Gdyby te miliony mieszkań z regulowanym czynszem powstały, zmalałby popyt na kredyty hipoteczne i ceny mieszkań – absurdalnie spekulacyjnie zawyżone – by spadły. A to uszczupliłoby zawrotne zyski sektora deweloperskiego i bankowego. Oba te sektory tuczą się na drogich kredytach hipotecznych, na drogich mieszkaniach.

Kolejnym przykładem wpływu lobbingu – a nie demokratycznych decyzji ogółu – jest systematyczne niszczenie lokalnego handlu poprzez zezwolenia na lokalizacje sklepów sieciowych, udzielane przez samorządy. Pieniądze wydane w lokalnym sklepie zostają w społeczności lokalnej. A te wydane w sieciówce trafiają do korporacyjnej centrali. Tak więc oddanie walkowerem rodzimego handlu powoduje ubożenie danej gminy czy powiatu. Ktoś jednak na szczeblu samorządowym te decyzje podejmuje – i trudno uwierzyć, że czyni to bez finansowej zachęty ze strony korporacji handlowych systematycznie wypierających lokalne sklepy.

Chciałoby się żyć w kraju, gdzie decyzje władz podejmuje się dla dobra wspólnego. To jednak wymaga zlokalizowania wszystkich tych miejsc, gdzie kapitał sprawuje władzę nad politykami, i stopniowego uszczelniania systemu, tak by tej dyskrecjonalnej władzy pieniądza nie ulegał ani wójt, ani prezydent państwa polskiego.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 9d63dd6775

Ordo Iuris przejmuje kosę

Instytut Ordo Iuris postanowił na chwilę wyjąć łapy z gaci obywateli i zająć się kwestią ich odchodzenia z tego świata. Do subskrybentów fundamentalistycznej katolickiej sekty (w tym mnie) na skrzynkę mailową trafił właśnie straszak o przypadkach cichej eutanazji w kraju nad Wisłą. Choć logika nakazuje, by wynurzenia ekipy mec. Jerzego Kwaśniewskiego profilaktycznie spuszczać z nurtem rzeki, tym razem świeżo uszyta propaganda może trafić na podatny grunt.

Mam złą wiadomość dla konających: medycznej furtki do śmierci na skróty nie ma. To znaczy nie ma w Polsce i długo (a może w ogóle) nie będzie. Kwestie światopoglądowe pod postacią czczych dyskusji o skrobankach i eutanazji w kampaniach wyborczych są powszechne jak plamy potu pod pachami po zakrapianej imprezie. Na rzekome mordowanie słabych i niewinnych target w zakłamanym społeczeństwie zawsze się znajdzie, choć jeden drugiemu najczęściej życzy zdechnięcia na raka, a historie o powykręcanych przez choróbska milusińskich neutralizuje przełączeniem kanału w telewizji.

Ordo Iuris poszło jednak o krok dalej i kując wyborcze prawicowe żelazo, postanowiło upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. By temat lepiej zassał, Kwaśniewski w liście do prenumeratorów ordosiowych treści opisał praktyki uśmiercania bądź próby skrócenia żywota nieuleczalnie chorych dzieci – dla odmiany tych narodzonych. W wywodzie powołał się na treść artykułu Wirtualnej Polski „Eutanazja w białych rękawiczkach. Rodzice błagają o pomoc, ale jej nie dostają". Od lektury tekstu marszczy się dupa i wbrew pozorom to nie smutne losy przedstawionych w nim bohaterów są najgorsze.

Materiał autorstwa dziennikarki Joanny Zajchowskiej, który ukazał się 13 października ubiegłego roku w serwisie wp.pl opowiada o losach czworga dzieci (Oktawii, Kacpra, Amelii i Kuby) dotkniętych rozmaitymi schorzeniami genetycznymi, które połączył tzw. protokół terapii daremnej (PDT). Dokument ten to zbiór wytycznych postępowania z dziećmi (osobny, choć bliźniaczy traktuje o osobach dorosłych) ze śmiertelnymi zmianami chorobowymi lub urazowymi, wobec których zostały wyczerpane możliwości terapeutyczne na oddziale anestezjologii i intensywnej terapii i wobec których zostało wysunięte podejrzenie braku skuteczności podtrzymywania funkcji narządów, czyli terapii daremnej. Mówiąc bardziej obrazowo, podjęcie decyzji o zaprzestaniu terapii daremnej oznacza zaprzestanie działań medycznych, które nie prowadzą do wyzdrowienia pacjenta, a jedynie przedłużają proces jego umierania. Stosowanie ograniczeń we wspomaganiu funkcji narządów nie zwalnia jednak z leczenia paliatywnego eliminującego cierpienie pacjenta i zapewniającego mu optymalny komfort (pielęgnację, nawadnianie, żywienie, uśmierzanie bólu i innych dolegliwości).

Uporczywie żyjący

Rys. WIDGET

Dwoje dzieci z artykułu Zajchowskiej powiększyło grono aniołków. Roczna Oktawia chorująca na zbyt późno rozpoznany zespół hemofagocytowy – rzadkie zaburzenie hematologiczne (nieleczona choroba prowadzi do śmierci zwykle już w ciągu dwóch do sześciu miesięcy od jej ujawnienia) – po zaprzestaniu wspomagania funkcji wątroby; czteroletni Kacper cierpiący na genetyczny zanik mięśni, który ciężko zachorował na covid, a do którego dyspozytor pogotowia miał nie wysłać karetki. Matki Amelii i Jakuba, dwojga tzw. dzieci leżących z szeregiem wad genetycznych i licznymi epizodami niewydolności wielonarządowej (sepsą), skarżyły się w tekście, że ich dzieci przez protokół nie kwalifikują się do antybiotykoterapii czy przyjęcia na oddział intensywnej terapii (OIT). Brzmi strasznie? Tak. Czy to lewa eutanazja? Nie.

Na materiał Zajchowskiej ostro zareagował w social mediach dr n. med. Jacek Górka, internista i anestezjolog z 5 Wojskowego Szpitala Klinicznego w Krakowie. Tekst nazwał clickbaitem, autorce zarzucił brak weryfikacji informacji podawanych przez rodziny będące w żałobie i trudnej sytuacji życiowej, mylenie terminów używanych w materiale i grę na emocjach. Trudno się z nim nie zgodzić. Wytyczne dotyczące protokołu terapii daremnej są ogólnodostępne, podobnie jak kryteria przyjęć na OIT. Upraszczając, ogólna zasada kwalifikacji na te łóżka jest taka, że przyczyna powodująca niewydolność narządu bądź narządów musi być odwracalna. Wspomniana odmowa antybiotykoterapii, owszem, jest w wytycznych zaprzestania terapii daremnej, ale dotyczy zaprzestania bądź niepodjęcia jej na oddziale anestezjologii i intensywnej terapii, kiedy agonia jest nieuchronna, a nie w przypadku opieki paliatywnej.

„Protokołu nie da się cofnąć czy anulować. Taki dokument widnieje w systemie i za każdym razem, trafiając do szpitala, lekarz go widzi" – relacjonuje w materiale Wirtualnej Polski matka zmarłego Kacpra. Lekarz w szpitalu, na pogotowiu itd. nie ma wglądu w dokumentację pacjenta z innych jednostek, tym bardziej dyspozytor. Nie ma też centralnego rejestru PDT, mówił o tym w jednym z wywiadów prof. Radosław Owczuk, specjalista anestezjologii i intensywnej terapii pytany o skalę zjawiska. „A co, jeśli dziecko, wbrew nauce, nie chce tak szybko umrzeć?" – pyta równie zaczepnie, co obleśnie red. Zajchowska. Nic, jest leczone paliatywnie pod fachową opieką medyczną w otoczeniu bliskich. Co więcej, PTD może zostać anulowany, jeśli stan pacjenta się poprawi.

Chorowanie i umieranie są do dupy. Pretensje, strach i żal rodzin bliskich dotkniętych tym nieszczęściem – więcej niż zrozumiałe. Kręcenie polityczno-medialnych lodów na tragedii należy tylko piętnować.

„Pół godziny dla rodziny lub prokuratora" – zwykło się mawiać na oddziałach szpitalnych, kiedy z obawy przed rodziną pacjenta chory z rozlatującymi się bebechami musi mieć połamane podczas resuscytacji żebra lub wetkniętą w grdykę rurę z tlenem, mimo że działania są nadmiarowe i nic już nie dadzą, bo nieszczęśnika nie da się uratować. Terapia daremna – jak mówią lekarze – jest nieetyczna i naraża pacjenta na niepotrzebne męki. Ale część medyków wciąż ją podejmuje, ponieważ się boi, że jeśli nie spróbuje, to będzie mieć na głowie prokuratora.

Głośne stało się doniesienie do prokuratury złożone w 2024 r. przez lekarzy na lekarza pochodzenia ukraińskiego Andrija K. w Szpitalu Wojewódzkim w Gorzowie Wielkopolskim, kiedy podjął on decyzję o odłączeniu od respiratora i zaprzestania lekoterapii 86-letniego pacjenta z sepsą po usunięciu zmartwiczałych jelit. Chory nie miał szans na przeżycie, a przesłanką do operacji było to, żeby mógł je zakończyć bez niepotrzebnego cierpienia. Lekarz stwierdził, że pacjent jest w stanie agonalnym i podjął decyzję o zakończeniu jego katorgi. Został oskarżony o zabójstwo i tymczasowo aresztowany. Wyszedł z aresztu po protestach środowiska lekarskiego, śledztwo w sprawie jest w toku.

Od stycznia 2025 r. obowiązuje nowy zapis w Kodeksie Etyki Lekarskiej, który zabrania stosowania terapii daremnej. W poprzednim KEL była mowa o tym, że w stanach terminalnych lekarz nie ma obowiązku podejmowania i prowadzenia reanimacji pacjenta lub uporczywej terapii i stosowania środków nadzwyczajnych. Na zmianę zapisu natychmiast zareagowali posłowie Konfederacji, którzy podczas Parlamentarnego Zespołu ds. Życia i Ochrony Polaków procedurę zestawili – podobnie jak Ordo Iuris – z eutanazją i skandowali hasła: „śmierć chodzi w białym kitlu". Jerzy Kwaśniewski zapowiada zgłoszenie do prokuratury zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa w oparciu o doniesienia medialne, czyli tekst Wirtualnej Polski. Podkreśla też, że nieprecyzyjna terminologia nie pozwala stwierdzić, kto powinien zostać objęty protokołem, „przez co dokument wydaje się wykraczać swoim zasięgiem poza chorych umierających".

Kwaśniewski przytacza też postać papki Jana Pawła II i jego przestrogę przed realizacją „agendy cywilizacji śmierci" i ma w rowie fakt, że Wojtyła był przeciwny przedłużaniu agonii przez wuja już warte zabiegi medyczne. A – powiedzmy sobie szczerze – ten jeden raz wiedział, co mówi.

W dobie dyskusji o obniżeniu składki zdrowotnej i poważnych problemach NFZ narracja o lekarzach mordujących cichaczem niewygodnych pacjentów może stać się nowym paliwem dla napiętych jak struna adeptów teorii spiskowych. Czym zaowocuje? Strach się domyślać i niemądrze myśleć, że czymś dobrym.

IDALIA DUBICKA

WIEŚCI **GMINNE** i INNE

▮ Ktoś chce zamordować prezydenta Suwałk. W każdym razie suwalska policja wszczęła śledztwo w sprawie gróźb pozbawienia życia, które prezydent Czesław Renkiewicz otrzymał mailem. Motywy potencjalnego zabójcy nie są jasne – trochę jak w przypadku zamachu na Kennedy'ego. Policja dochodzi i prowadzi. Prawdę mówiąc, nie wiemy, czy słusznie. No bo ilu znacie prezydentów Gdańska z imienia i nazwiska? Jeśli nie mieszkacie w Trójmieście, to pewnie tylko jednego. Niestety, droga do wielkiej historii często prowadzi przez śmierć – i rzadko jest to śmierć naturalna.

▮ Prezes Narodowego Banku Polskiego Adam Glapiński podczas konferencji prasowej stwierdził, że obniżka stóp procentowych może nastąpić zarówno w maju, jak i w każdym innym miesiącu. Profesor przypomniał, że niegdyś uchodził za „jastrzębia wśród jastrzębi", a dziś określa siebie jako „gołębia wśród gołębi". Podkreślał, że sytuacja zmienia się korzystnie w kierunku. Cóż, prawdziwy ekspert od poklepywania po plecach i uśmiechania się do zdjęć.

▮ Mimo wielokrotnych sugestii, które zamieszczaliśmy w tej rubryce, że oznaczanie tajnych i nietajnych obiektów wojskowych tablicami zakazującymi fotografowania to czysta głupota – bo przecież de facto je dekonspiruje – minister wojny Kosiniak-Kamysz postanowił działać. Wydał 27 marca nowe rozporządzenie w sprawie zezwoleń na fotografowanie obiektów wojskowych oraz nowego wzoru znaku zakazu fotografowania. Nowa tablica ma być jeszcze większa i jeszcze bardziej widoczna, żeby absolutnie nikt nie miał wątpliwości, gdzie znajdują się tajne obiekty. No cóż, minister nie ustępuje Glapińskiemu. Oprawić w ramkę i powiesić w galerii absurdu.

▮ Stojący w Domostawie na Podkarpaciu Pomnik Rzezi Wołyńskiej powstał w odpowiedzi na autentyczne społeczne zapotrzebowanie – powiedział Zbigniew Walczak, prezes Społecznego Komitetu Budowy Pomnika „Rzeź Wołyńska". – Pomnik Rzezi Wołyńskiej jest żywym miejscem pamięci – dodał. A to dlatego, że zwrócił się do niego Albert Korotkiewicz, sołtys Nowej Wsi Legnickiej, z pytaniem o prawa autorskie do Rzezi, gdyż chce postawić w swojej miejscowości replikę tego „żywego miejsca pamięci". Słuszne byłoby zatem stworzenie jakiegoś ogólnopolskiego komitetu, powiedzmy: „Żywe miejsce pamięci rzezi w każdej gminie, pod wezwaniem miesięcznicy smoleńskiej". Wiecie, kto mógłby być prezesem?

▮ Podobne spotkania w Mysłowicach nie będą już miały miejsca – zapewnia prezydent Dariusz Wójtowicz. Odnosił się do wydarzenia z okazji święta Eid al-Fitr, które odbyło się w miejskiej hali sportowej MOSiR i zgromadziło kilkudziesięciu muzułmanów. Wójtowicz podkreślił, że miejskie jednostki mają bezwzględny zakaz komercyjnych wynajmów o charakterze religijnym. Centrum Kultury Islamu, które wynajęło halę, powinno się zatem zgłosić do miejscowej kurii. W końcu kościoły świecą pustkami, a proboszczom każdy grosz się przyda.

▮ Naczelny Sąd Administracyjny oddalił kasację złożoną przez Zakopane, podtrzymując wyrok WSA w Krakowie o nieważności uchwały dotyczącej opłaty miejscowej. O sprawie już wspominaliśmy – teraz mamy stan ostateczny. Chodzi o to, że profesor Bogdan Achimescu (jak sama nazwa wskazuje, z Krakowa) zaskarżył opłatę, argumentując, że miasto nie spełnia norm jakości powietrza. W praktyce oznacza to, że obecna „uchwała klimatyczna" Rady Miasta Zakopanego jest nieważna, a miasto nie ma prawa pobierać tej opłaty. Burmistrz Łukasz Filipowicz uznał decyzję za niesprawiedliwą i poinformował, że rada już proceduje nową uchwałę w tej sprawie, którą – jak nietrudno się domyślić – Achimescu zapewne zaskarży. Zabawa więc będzie trwała aż do ostatnich dni – Achimescu albo Zakopanego. Zobaczymy, kto pierwszy odpuści.

▮ Pani Ludmiła z Ukrainy postanowiła zabłysnąć w mediach społecznościowych. Pochwaliła się, że ma aż siedem paszportów – swoich albo „pożyczonych". Dodała przy tym, że na każdy taki dokument, jeśli należy do mamy z dzieckiem, można zgarnąć 800 plus, czyli w sumie niezłe 5600 zł miesięcznie. Zareagowała policja. Ludmiła szybko zaczęła tłumaczyć, że to tylko żart, który po prostu został źle odebrany. Taki tam internetowy stand-up. Cała sytuacja budzi jednak skojarzenia z wydarzeniem z sierpnia 2023 r., kiedy to ukraińska kobieta próbowała przekroczyć polską granicę ze 170 paszportami. Wówczas nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego przewozi dokumenty należące do osób, które nie przekraczały granicy. Teraz już wiemy. Też zapewne żartowała.

▮ Gdańsk postanowił stanowczo rozprawić się z nocnym spożywaniem alkoholu. Ale spokojnie, dopiero od 1 września. Wtedy wejdzie w życie zakaz sprzedaży alkoholu w sklepach i na stacjach benzynowych w godzinach 22.00–6.00. Jeśli chodzi zatem o najbliższe wakacje, hulaj dusza, flaszka w górę. A od września? Cóż, gdańszczanie będą musieli ruszyć na nocną pielgrzymkę po wódkę do Sopotu, gdzie zakaz też jest, ale obowiązuje tylko w godzinach 2.00–6.00.

Rys. WIDGET

▮ W Komendzie Miejskiej Policji w Rzeszowie strzelanina… na papierze. Biuro Spraw Wewnętrznych zatrzymało sześciu funkcjonariuszy, w tym dwóch naczelników: Mariusza P. i Grzegorza P., który pełnił funkcję zaledwie jeden dzień. Policjanci mieli fałszować listy obecności na strzelaniach, podpisując się za około 20 osób, które faktycznie nie brały w nich udziału. Trwa śledztwo w sprawie nieprawidłowości na strzelnicy w Zaczerniu i nielegalnego pozyskiwania danych osobowych. Policja nie komentuje sprawy.

▮ 14 kwietnia świętujemy chrzest Polski. Czyli wejście Mieszka I do wspólnoty europejskiej, zmianę diety z dziczyzny na opłatki i początek długiej, acz burzliwej przyjaźni z Watykanem. Tego samego dnia obchodzimy Dzień Ludzi Bezdomnych. Znamienne i symboliczne przypomnienie, że nie wszyscy skorzystali na dobrodziejstwach chrześcijaństwa i wciąż tkwią poza nawiasem społeczeństwa niczym poganie sprzed tysiąclecia.

RJ

PS Informacje pochodzą z publikatorów gminnych i innych źródeł, których rzetelność bywa zmienna. Jeśli coś okaże się nieprawdą, z góry przepraszamy w imieniu własnym i kolegów z terenu, choć, rzecz jasna, nie bierzemy za to żadnej odpowiedzialności.

eprasa.pl 9d63dd6775

Polskie prawo umożliwia każdemu obywatelowi napisanie do pana prezydenta.

My, Naród, zwracamy się...

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

2 października na stronie petycjeonline.com pojawiła się „Petycja do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w sprawie rozwiązania rządu pod przywództwem Donalda Tuska". „Szanowny Panie Prezydencie, My, niżej podpisani obywatele Rzeczypospolitej Polskiej, zwracamy się do Pana z pilnym i stanowczym apelem o podjęcie kroków mających na celu rozwiązanie rządu pod przewodnictwem Donalda Tuska. Nasza prośba wynika z głębokiego zaniepokojenia działaniami tego rządu, które w naszej ocenie prowadzą do destabilizacji państwa, łamania prawa oraz niszczenia fundamentów polskiej demokracji" – pisze się w petycji.

Potem leci mnóstwo argumentów, jak to rząd Tuska łamie prawo i konstytucję, niszczy instytucje państwowe, zaniedbuje kwestie zarządzania kryzysowego, politycznie prześladuje opozycję, kompromituje Polskę na arenie międzynarodowej i na dodatek źle zarządza gospodarką. Nic zatem dziwnego, że petycję kończy taka prośba: „Szanowny Panie Prezydencie, jako głowa państwa i gwarant Konstytucji, ma Pan obowiązek stać na straży prawa i demokracji. Prosimy, aby Pan podjął zdecydowane kroki w celu ochrony naszego kraju przed dalszymi nieprawidłowościami i szkodliwymi działaniami obecnego rządu. Z poważaniem, Ewa Sójka". Przez osiem dni podpisało ją 48 osób. Do kancelarii prezydenta petycja jeszcze nie dotarła. Ale jak dotrze, to...

Konstytucja, konstytucja...

Konstytucja zaczęła obowiązywać w październiku 1997 r. Zgodnie z jej art. 63 każdy ma prawo składać petycje do organów władzy publicznej. Tryb rozpatrywania petycji określać miała ustawa. Miłujące konstytucję kolejne rządy jakoś nie paliły się, by ten konstytucyjny wymóg spełnić. Dopiero 11 lipca 2014 r. petycje doczekały się ustawy. Ci, co chcieli je pisać, musieli się wstrzymać przez ponad rok. Ustawa weszła w życie z początkiem września 2015 r. Nowe prawo propaganda sprzedawała jako niesamowitą demokratyczną zdobycz. Wszak obywatele dostali dzięki niemu możliwość wpływania na rządzących. Od jej wejścia w życie żaden głos obywatelski nie mógł być niezauważony. Każdy apel do władzy musiał być odnotowany i wnikliwie rozpoznany. Prawo stanowi wszak, że „petycja powinna być rozpatrzona bez zbędnej zwłoki, jednak nie później niż w terminie 3 miesięcy od dnia jej złożenia".

W praktyce oznacza to, że w skali kraju

setki urzędników muszą poświęcić swój trud i znój na czytanie, odpowiadanie i przesyłanie petycji dalej. Wszystko po to, by mogły one w końcu trafić tam, gdzie zdaniem urzędników winny znaleźć się tuż po ich przyjęciu. Do niszczarki.

Nominalnie najwyższym rangą urzędem w kraju jest prezydent. Nic zatem dziwnego, że bolejący nad czymś obywatele właśnie do niego ślą swe apele i prośby. Prezydent ma swoją kancelarię. W niej zaś pracować winny nadzwyczaj kompetentne osoby. To właśnie na nie spada zaszczyt i przyjemność korespondowania z suwerenem. Choćby z suwerenem nazwiskiem Bartosz Wałęga.

Obywatel Wałęga zwrócił się bowiem do prezydenta Andrzeja Dudy z rzeczą o znaczeniu zasadniczym. Napisał petycję „W sprawie symboli państwowych Rzeczypospolitej Polskiej". Wałędze chodzi o wprowadzenie w godle oraz na fladze elementu nawiązującego do korony Bolesława Chrobrego. A to dlatego, że w 2025 r. minie dokładnie 1000 lat od koronowania Bolesława Chrobrego „na Króla Polski i Polskiego". Będzie to więc – zdaniem Wałęgi – okazja, żeby przypomnieć światu, że „Polska państwowość nie zaczęła się 100 lat temu ale 1000 lat temu".

„Wydaje mi się – pisze Wałęga – że dobrym pomysłem byłoby to zrobić m.in. za pomocą »koronowania« naszych symboli narodowych właśnie koroną Bolesława Chrobrego". Oczywiście w petycji jest stosowny projekt nowego Orła Białego. Co robi kancelaria Andrzeja Dudy z tak cenną ideą? To, co trzeba. Wydaje komunikat o tym, że „Biuro Interwencyjnej Pomocy Prawnej i Listów poinformowało autora petycji o zapoznaniu się z jej treścią i zgłoszonym postulatem.

Uznanie praw natury jest sytuacją znacznie korzystniejszą niż trwanie w ramach obszarowych ochrony środowiska. Woda, rzeki, jeziora, cieki, źródła zasługują na swoich obrońców – strażników. Przedstawiciele z przywołaniem dostępnych instrumentów jako reprezentacji zadbają o prawa podmiotowe. Zabiegamy, by naturalne cieki i zbiorniki wodne pozyskały osobowość prawną, dzięki której uzyskają prawa i będą mogły z nich korzystać. Sama wartość natury uzasadnia działania przeciwstawiające się szkodom środowiskowym. Zbudujmy arkę tu i teraz. Przydanie elementom przyrody, fragmentom środowiska ziemskiego, cudom natury, poszczególnym z osobna i łącznie OSOBOWOŚCI PRAWNEJ jest pilnie wymaganą. Przyroda musi mieć prawa indywidualne i reprezentację własną poza instytucjami państwowymi. Osobowość prawna dla przyrody jest koncepcją walki o Dobro Wspólne tworów, których ochrona w dotychczasowej formie zawiodła. Powodzie i skażenia są wystarczającym dowodem, że Państwo zawodzi" – taką petycję do prezydenta przysłała Fundacja Dobre Państwo chcąca, jak widać, rozszerzyć podmiotowość w Rzeczpospolitej i do osób fizycznych i prawnych dopisać osoby przyrodnicze. Apel podpisany przez prezesa oraz członkinię zarządu kończy się słowami: „Demokratycznie wybrana Władzo. Gdyby kruchość i niedostępność zasobów ludzkich i organizacyjnych odwlekała wprowadzenie przepisów wykonawczych, to Fundacja Dobre Państwo deklaruje sporządzenie projektu zmian legislacyjnych. My suweren stanowimy o sobie poprzez reprezentację naszych wybranych przedstawicieli. Prosimy o wszczęcie prac nad koncepcją wyartykułowaną przez Fundację Dobre Państwo w niniejszej Petycji". Prace wszczęto, bo zapewne o tym mówi taki komunikat Pałacu Prezydenckiego: „Petycja została przekazana do komórki prawnej Kancelarii Prezydenta RP".

O wolność waszą i...

W marcu kanceliści Andrzeja Dudy dostali „Petycję dotyczącą działalności Prezydenta RP w zakresie polityki międzynarodowej". Opisali ją tak: „Piszący, zaniepokojony eskalacją konfliktu w Ukrainie oraz perspektywą udziału polskich żołnierzy w działaniach wojennych, zwraca się do Pana Prezydenta o podjęcie natychmiastowych inicjatyw mających na celu zakończenie wojny na drodze dyplomatycznej i rozmów pokojowych. Ponadto petytor oczekuje od Głowy Państwa złożenia deklaracji o niewysyłaniu polskich żołnierzy w rejony konfliktów zbrojnych, które nie są związane z bezpośrednią obroną terytorium Polski lub sojuszników w ramach NATO". Urzędnicy prezydenta wykazali się więc umiejętnością czytania ze zrozumieniem, zaś memoriał, w którym „Podpisujący petycję wyrażają przekonanie, że tylko poprzez pokojowe i dyplomatyczne rozwiązania można osiągnąć trwałe stabilizację i bezpieczeństwo na Ukrainie oraz w całej Europie", został – jak informuje prezydencka kancelaria – „przekazany do Biura Polityki Międzynarodowej Kancelarii Prezydenta RP, o czym wnoszący został poinformowany". Kim ten wnoszący jest, nie wiemy, bo nie wyraził zgody na ujawnienie danych osobowych.

Zupełnie inaczej niż pan Dawid Stanisław Szóstak, który swoją petycję, miast skierować do Andrzeja Dudy, trzyma od lipca na petycjeonline.com, zdobywając pod nią kolejne podpisy. Petytor Szóstak się nie ceregieli: „Wznosząc się ponad polityczne podziały oraz akcentując wiele głosów Polaków, apeluję o odebranie Orderu Orła Białego przyznanego Wołodymyrowi Zełenskiemu" – pisze. A potem uzasadnia: „Już teraz można zauważyć, jak wielkim błędem było przyznanie najstarszego i najważniejszego odznaczenia Rzeczpospolitej. Pomimo wielkiej ofiarności i wysiłku Polaków Ukraina okazała Nam, Polakom, wiele przykładów wrogości, np.: w obszarach gospodarczych, polityki międzynarodowej i historycznej". Żeby taką ukraińską agresję odeprzeć, trzeba więc zabrać prezydentowi Ukrainy błyskotkę. „Taki gest może oddziaływać trzeźwiąco na agresywną politykę Ukrainy wobec Polaków i Polski. Głęboko wierzę, że Pan, jako prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej, znajdzie sposób na szybkie i sprawne odebranie Orderu Orła Białego Wołodymyrowi Zełenskiemu". I albo ukrainożerców ci u nas niedostatek, albo nie wiedzą oni, że taka petycja wisi w internecie. Tak czy inaczej, przez kilka miesięcy pod petycją Szóstaka do Dudy podpisało się niecałe 2 tys. osób.

Petycja zniesie wszystko

Znana z propozycji upodmiotowienia potoków Fundacja Dobre Państwo w całkiem innej petycji zadaje prezydentowi pytanie fundamentalne: „Czy nadal jako społeczeństwo jesteśmy niedojrzali politycznie, by tkwić w prowizorycznym rozwiązaniu skrojonym w Konstytucji RP z powodu braku kadr przygotowanych do sprawowania władzy?". Skoro nie jesteśmy, to trzeba zmienić konstytucję i zakazać być jednocześnie posłem i ministrem czy wiceministrem. „Poseł, Senator – ministrami będąc w regulaminach są co do innych funkcji dość precyzyjnie ograniczeni. System wodzowski w partiach, po usunięciu konstytucyjnego wyłączenia, ulży ciężkiej doli członków. Zrodzi się oddolny pluralizm. jak uniknąć konfliktu tożsamości podmiotu kontrolującego i podmiotu kontrolowanego. Parlamentarzysta powołany do rządu byłby musiał kurczowo trzymać się posady, bo dymisja odeśle go do domu".

W lipcu do kancelarii Andrzeja Dudy dotarło pismo, w którym stało: „My, obywatele Rzeczypospolitej Polskiej, zwracamy się do Pana z petycją o wprowadzenie zakazu handlu w każdą niedzielę w roku". Pod pismem miast narodu podpisała się jedna osoba. Na tyle jednak skromna, że nie zażyczyła sobie, by jej imię upubliczniać.

Co z tym fantem zrobili kanceliści? Nie wiadomo, bo nie zamieścili stosownej formułki, poprzestając na stwierdzeniu, iż „Piszący, przywołując argumenty ekonomiczne, religijne oraz konstytucyjne prawo do odpoczynku, zwraca się do Prezydenta RP o rozważenie wprowadzenia zakazu handlu w każdą niedzielę w roku".

Dokładnie tak samo, czyli nijak, została potraktowana „Petycja dotycząca aborcji", gdzie ktoś, kto nie chciał się szerzej przedstawić, przekonywał Dudę, że „delegalizacja aborcji byłaby zgodna z wartościami większości Polaków".

Rodzi się więc pytanie, czy opracowując ustawę o petycjach, ktokolwiek przeprowadził analizę skutków ekonomicznych. Chyba nie, bo marnowanie choć jednej godziny urzędnika na czytanie takich bzdur to niegospodarność najwyższej klasy.

TADEUSZ JASIŃSKI

REKLAMA

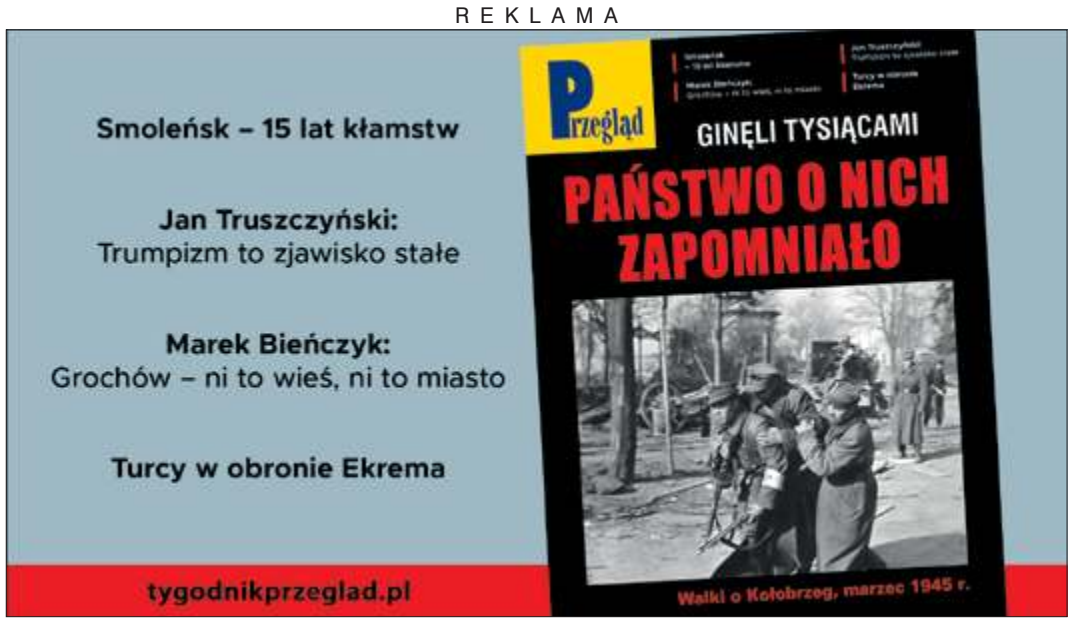

eprasa.pl 9d63dd6775

Procesy z Excela

Naród pieniaczy czy ofiary statystycznego oszustwa?

Od zawsze miałem na pieńku z polskim prawem. A mówiąc ściślej, to ono ma problem ze mną. Nie dorasta do pięt moim wyobrażeniom o sprawiedliwości, racjonalności i humanizmie. To prawodawcza parodia, nonsens podniesiony do potęgi absurdu, farsa na fundamencie niedorzeczności. Byłem uwikłany w proces, który trwał 17 lat, więc wiem, co piszę.

Nic dziwnego, skoro twórcami tych przepisów byli kolejni Lepperowie, Macierewicze i inni prawnicy partacze. Administracyjne, cywilne, podatkowe – wszystkie te dziedziny prawa wołają o pomstę do nieba. O karnym na razie się nie wypowiadam, bo jeszcze nie miałem (nie)przyjemności się z nim zetknąć.

Mądrość sędziów ponad literą prawa

Na szczęście prawo to nie tylko jego litera, ale także sądy – miejsca, w których na ogół zasiadają ludzie mądrzejsi niż w parlamencie. To oni, żeglując po tym morzu prawnej farsy, starają się ustanowić na ziemi choć odrobinę sprawiedliwości. Dlatego właśnie nie samo prawo – jako zbiór przepisów – jest najważniejsze, ale orzeczenia sądowe.

Nie mają one w Polsce takiej mocy jak np. w Anglii, gdzie wyroki są bezpośrednim źródłem prawa, ani takiej wagi jak w Stanach Zjednoczonych, gdzie tworzą tzw. precedensy i kształtują całe systemy prawne.

Orzeczenia polskich sądów stanowią jednak ważną wykładnię. Istnieje tu choćby pojęcie powagi rzeczy osądzonej, z którego wynika, że obywatel ma prawo zakładać, iż jeśli w danej sprawie zapadł już wyrok, to w podobnej sprawie może spodziewać się podobnego rozstrzygnięcia.

Adwokaci, prokuratorzy i sędziowie, uzasadniając swoje stanowiska, często powołują się na powagę rzeczy osądzonej, kopiując i wklejając sentencje z innych orzeczeń.

SAOS na widelcu

Aby jednak móc się na coś powoływać, trzeba mieć dostęp do tych wyroków. Właśnie w tym celu powstał tzw. SAOS – System Analizy Orzeczeń Sądowych. W instrukcji tego internetowego systemu czytamy: „gromadzi i udostępnia dane orzeczeń polskich sądów. Ułatwia ich przeszukiwanie, przeglądanie oraz zbiorczą analizę".

Z SAOS-a chętnie korzysta świat prawniczy. A że i ja ostatnio nie byłem pewien, czy jedzenie rosołu widelcem nie kwalifikuje się aby jako czyn nieobyczajny, postanowiłem zajrzeć do jego zasobów.

Skorzystałem, a potem kliknąłem w zakładkę „Analizy", gdzie moim oczom ukazał się wykres, który i wy możecie tu zobaczyć. Przedstawia on liczbę spraw załatwianych przez sądy powszechne w kolejnych latach.

Osobliwy kształt wykresu ukazuje dramatyczny spadek liczby orzeczeń polskich sądów. Z 61 428 w 2016 r. do zaledwie 12 249 w 2024. 80 proc. w dół! Co to oznacza?

Tajemnica pustych sal sądowych

Może Polacy wreszcie osiągnęli nirwanę? Przestali się sądzić? Stosunki międzyludzkie rozkwitają harmonią, a pretensje wyparowały niczym kamfora? A może wręcz przeciwnie: społeczeństwo straciło wiarę w sądy i wróciło do tradycyjnych metod rozwiązywania sporów – sierp i kłonica zastąpiły paragraf?

Inna możliwość: sądy zapchane po brzegi, sędziowie leniwi jak osy w listopadzie. Wydajność aparatury sądowniczej legła w gruzach. Zawał, zadyszka, cholera wie co.

No i zawsze pozostaje opcja, że dane są błędne, a system liczyć nie umie. Tak czy siak, sprawa wydaje się ważna i domaga się wyjaśnienia.

Postanowiłem dotrzeć do źródła, a więc do Ministerstwa Sprawiedliwości, gdzie rezyduje zacny minister, ongiś rzecznik praw obywatelskich, Adam Bodnar. Wysłałem do rzeczniczki prasowej maila z prośbą o komentarz w sprawie dramatycznego spadku liczby orzeczeń. Chciałem wiedzieć, jak ministerstwo ją interpretuje.

Ministerstwo Sprawiedliwości kontra Uniwersytet Warszawski

Odpowiedź z Wydziału Prasowego, Biura Komunikacji i Promocji, nadeszła stosunkowo szybko: „Ministerstwo Sprawiedliwości nie współpracuje z konsorcjum realizującym projekt SAOS, czyli z Interdyscyplinarnym Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego".

„W załączeniu przesyłamy dane statystyczne dotyczące ewidencji spraw w sądach powszechnych w latach 2015–2024 zgromadzone i opracowane przez Ministerstwo Sprawiedliwości" – głosił dopisek.

Eureka! Właśnie o to mi chodziło. Dostałem tabelkę, która dowodzi, że ci modelowacze z Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego chyba modelują własną niewiedzę.

Różnice są dramatyczne, oczywiste dla każdego, kto skończył podstawówkę. Sami zobaczcie!

Mianowicie: w 2016 r. do sądów wpłynęło ponad 14 mln spraw, a załatwiono też nieco ponad 14 mln. W zeszłym roku wpłynęło nie 12 tys., ale również ponad 14 mln. Widać więc, że liczba spraw wpływających i załatwianych utrzymuje się na podobnym poziomie.

Rok	Sprawy wpływające	Sprawy załatwione	Pozostałość z poprzedniego roku
2015	15 156 076	15 101 484	2 299 495
2016	14 910 925	14 192 092	3 018 336
2017	15 782 479	15 835 956	2 964 885
2018	15 049 054	14 915 001	3 098 942
2019	17 728 999	16 400 377	4 427 268
2020	13 984 528	14 381 454	4 030 348
2021	14 262 435	14 458 411	3 833 048
2022	14 636 438	14 910 352	3 559 163
2023	14 667 358	14 855 026	3 371 495
2024	14 638 103	14 375 112	3 634 486

Zmajstrowany za bańki, działa na oparach

Następny krok: Uniwersytet Warszawski, który za kilka baniek z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju zmajstrował ten system. Chciałem wiedzieć, dlaczego kłamie. Wyjaśnili. System powstał 10 lat temu i jakoś działa, mimo braku budżetu, na głodowych racjach. Skoro brakuje pieniędzy, to nic dziwnego, że system bredzi i podaje fałszywe liczby. Nie zasysa wszystkich danych z sądów. Wprost o myleniu się nie wspomnieli, ale taki właśnie sens wyłania się z odpowiedzi na mojego maila wysłanego do wszystkich uczestników konsorcjum, które spłodziło ten SAOS.

Szkoda, że system się myli, ale przyjrzałem się teraz danym z ministerstwa. Wychodzi na to, że jesteśmy narodem pieniaczy.

Czy polscy sędziowie to nadludzie?

No bo w Polsce jest około 30 mln dorosłych, czyli zdolnych do czynności prawnych. Skoro wpływa 14–15 mln spraw rocznie, to wychodzi, że co drugi dorosły ciąga się po sądach. A przecież przed sądem zazwyczaj stają dwie strony, więc uwikłanych jest prawie 30 mln ludzi, czyli 96 proc. dorosłych!

Przez ostatnie dziewięć lat Polacy wnieśli 135 mln spraw, czyli minimum trzy na głowę. Przeczy to moim doświadczeniom, ale może żyję w jakiejś prawnej oazie spokoju? Skoro ministerstwo tak twierdzi, to trudno polemizować, zwłaszcza że to chyba nie żaden błąd w Excelu ani żart pani rzecznik.

Na witrynie ministerstwa też widnieją te nieprawdopodobne dane, rzekomo poparte rzetelnymi wyliczeniami. Podają: 14,9 mln spraw rocznie, 376 sądów powszechnych i około 2500 sędziów orzekających w sądach rejonowych i okręgowych. Prosta matematyka: 14,9 mln spraw dzielone przez 2500 sędziów daje 5960 spraw na jednego sędziego rocznie. Przy 251 dniach roboczych wychodzi 24 sprawy dziennie, czyli trzy na godzinę. Powątpiewam.

Polska kontra Niemcy

Mój sceptycyzm kazał mi spojrzeć na naszych zachodnich sąsiadów, Niemców, których jest prawie 90 mln. Ich system wymiaru sprawiedliwości, podzielony na sądy powszechne i specjalne (te drugie niepodlegające Ministerstwu Sprawiedliwości), w gruncie rzeczy działa podobnie do polskiego, rozpatrując sprawy karne, cywilne, rodzinne, gospodarcze, spadkowe, opiekuńcze, wpisy do ksiąg wieczystych, rejestry handlowe itd., itp. Sądy specjalne to sądy administracyjne, pracy, socjalne i finansowe. Niemiecka skrupulatność podaje, że łącznie wszystkie sądy w Niemczech rozpatrują ok. 9,5–10 mln spraw rocznie.

O czym to świadczy?

Być może o tym, że w Polsce mamy najbardziej konfliktowy, pieniący się i procesujący naród Europy, który z każdej pierdoły robi pozew. A może przeciwnie – że mamy system, który przestał rozróżniać między realną sprawiedliwością a biurokratyczną buchalterią, gdzie każda pieczątka, każdy świstek to już sprawa sądowa. Może to też znak, że statystyka dawno przestała odzwierciedlać rzeczywistość, a służy głównie do wycierania sobie nią ust przy okazji prezentacji budżetu lub reform.

Może rzeczywiście społeczeństwo się sądzi, aż się kurzy, a sądy wyrabiają normy jak w kołchozie, albo ktoś gdzieś przestał odróżniać dane od danych.

Jeśli niemiecki wymiar sprawiedliwości przy niemal trzykrotnie większym społeczeństwie obsługuje 30 proc. mniej spraw niż polski, to trzeba sobie w końcu zadać pytanie: kto to tu się pomylił?

Ale czy jeszcze ktoś w ogóle wie, co liczy?

I może najwyższy czas, żebyśmy – zanim uwierzymy w kolejną tabelkę – sprawdzili, czy jej twórca zna różnicę między rzeczywistością a Excelem.

ROBERT JARUGA

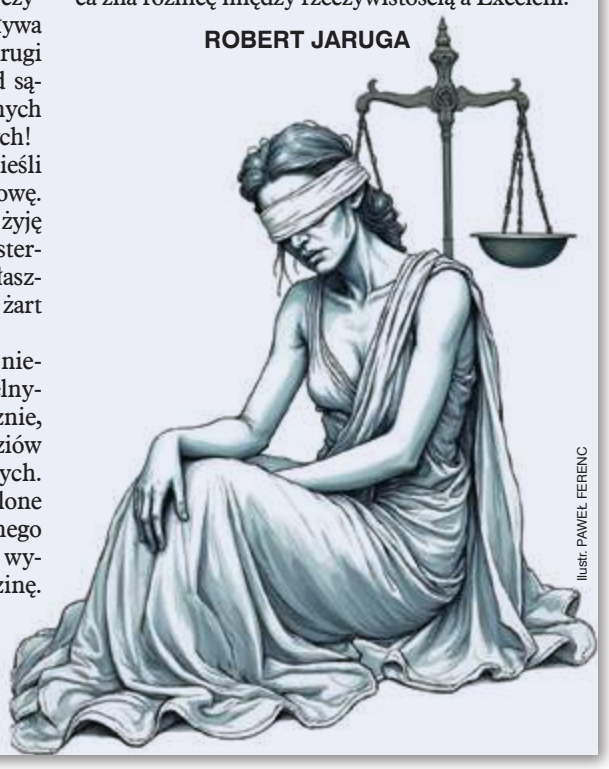

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Czasem konstytucja naprawdę chroni nas przed skurwysyństwem

Klęska bankstera

Rzecznik praw obywatelskich pokonał w sądzie upiora banksterstwa. I to już nie pierwszy raz. Nic o tym nie wiemy, bo prof. Marcin Wiącek wykazuje chorobliwy brak parcia na szkło. A szkoda, bo to akurat zwycięstwo warte jest nagłośnienia.

Państwo F. w 2008 r. wzięli pół bańki kredytu mieszkaniowego. Kredyt był, a jakże, we frankach i w jakimś momencie przestali go spłacać. RPO nie informuje dlaczego – ale można zgadnąć, że zbiegło się to w czasie z szaleńczym wzrostem kursu franka. Bank wypowiedział im umowę i zażądał zwrotu – już całej bańki. W 2012 r. sąd nadał klauzulę wykonalności bankowemu tytułowi egzekucyjnemu, komornik wszczął postępowanie egzekucyjne, ale kasy od F. nie wyrwał, bo jej nie mieli. Po dwóch latach nękania państwa F. przez komornika bank sprzedał ich handlarzowi długów. Ten zaś przyszedł do sądu i zażądał kolejnego nakazu zapłaty w postępowaniu upominawczym – tym razem już na półtorej bańki, bo tak sobie wyliczył. I sąd wydał kolejny nakaz zapłaty – na 1,5 mln zł.

Państwo F. złożyli skargę o wznowienie postępowania, ale została ona odrzucona, podobnie jak pozew o pozbawienie tytułu wykonawczego wykonalności.

RPO wystąpił do Sądu Najwyższego ze skargą nadzwyczajną. Napisał w niej – i to szczególnie ważne – że

sąd ma obowiązek ważyć prawa konsumenta i przedsiębiorcy, a nie po prostu wspierać przedsiębiorcę. Ważąc, sąd okręgowy, zamiast po prostu dać krwiopijcy to, czego się domagał, powinien zbadać sprawę w ramach normalnego postępowania sądowego.

I sprawdzić, czy w umowie kredytowej nie ma tzw. postanowień abuzywnych – mówiąc po naszemu, ruchających klienta. Rzecznik napisał, że od konsumenta można wymagać rozwagi i uwagi, ale tylko pod warunkiem, że przedsiębiorca „spełnieni ciążące na nim obowiązki informacyjne" – czyli nie będzie łgał w żywe oczy. Albowiem – stwierdził rzecznik – klient „nie może działać przy założeniu, że przedsiębiorca chce go oszukać, wykorzystać jego niedoświadczenie czy brak wiedzy". W odniesieniu do banksterów ta akurat teza zdaje się dość wątpliwa – wiadomo powszechnie, że ich celem jest wydymanie frajerów i frajerzy powinni z takim nastawieniem do banków przychodzić – ale ważniejsze są dwie inne tezy, zgłoszone przez prof. Wiącka.

Po pierwsze, sprawa dotyczy umowy konsumenckiej – co, zgodnie z konstytucją RP, a także standardami europejskimi, zobowiązuje sąd do uważnego zbadania, czy przedsiębiorca, w tym przypadku bank, nie wykorzystuje słabszej pozycji konsumenta; właśnie wyrównaniu tej nierówności służą regulacje dotyczące praw konsumentów. Stąd sąd miał obowiązek przeanalizować treść umowy i sprawdzić, czy państwo F. nie zostali wydymani i czy kwoty długu wyliczone przez bank i handlarza długami są poprawne, czy też wyssane z brudnego palca chciwej łapy. Sąd – wydając nakaz zapłaty – „nie wyrównał dysproporcji między klientem a przedsiębiorcą, tylko jeszcze je zwiększył" – pisze RPO. I dodaje: „Tak oto sąd orzekający w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, będącej w świetle art. 2 Konstytucji RP demokratycznym państwem prawnym urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej, i którego obowiązkiem jest m.in. ochrona konsumentów, wsparł działania przedsiębiorcy nakierowane na wykorzystanie słabszej pozycji konsumenta, który nie był w stanie się skutecznie bronić".

Mało tego: ponieważ sprawa dotyczy kredytu mieszkaniowego – i obecnie handlarz długami chciałby państwa F. wraz z chorym dzieckiem z tego mieszkania wyrzucić – w grę wchodzi także naruszenie konstytucyjnej ochrony prawa do mieszkania (art. 75).

Sąd Najwyższy – i to jest powód do świętowania – zgodził się z opinią rzecznika. Uchylił nakaz zapłaty, odesłał sprawę do sądu okręgowego, który tym razem będzie musiał zbadać zarówno legalność umowy, jak i poprawność wyliczonej przez krwiopijcę kwoty.

A póki co ludzie z chorym dzieckiem mają dach nad głową.

Sądy jednak się do czegoś przydają.

AWŁ

eprasa.pl 9d63dd6775

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego (ISKK) przedstawił wyniki badania „Niebezpieczna misja? Agresja wobec duchownych, miejsc, obiektów kultu w Polsce", przeprowadzonego pod koniec 2024 r. wśród księży diecezjalnych. Na podstawie 600 ankiet wykazano, że w ciągu ostatnich 12 miesięcy blisko 50 proc. księży doświadczyło agresji, 41 proc. z nich spotkało się z groźbami, szyderstwami i wyzwiskami, a ok. 20 proc. wskazało na ataki na obiekty sakralne. Pytani o przyczynę agresji księża najczęściej wskazywali media, ideologiczne i polityczne konflikty w polskim społeczeństwie oraz osobiste urazy osób skrzywdzonych przez duchownych. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

✚ Kary czterech miesięcy bezwzględnego więzienia żąda prokurator Marek Świtała dla byłego księdza Michała Woźnickiego. Eksklecha 3 kwietnia stanął przed Sądem Okręgowym w Poznaniu, bo prokuratura oskarżyła go o publiczne znieważenie prezydenta Andrzeja Dudy, premiera Donalda Tuska i marszałka sejmu Szymona Hołowni. Woźnicki kolekcjonuje wyroki. Pierwszy zapadł jeszcze, gdy był księdzem. Sąd skazał go prawomocnie m.in. na prace społeczne za porównanie Żydów do kleszczy i pijawek. Prokurator Świtała kazania Woźnickiego nazwał patostreamingiem, ocenił także, że poprzednie wyroki nie zrobiły na oskarżonym wrażenia. O tym, czy Woźnicki pójdzie pierdzieć w pasiak, dowiemy się 16 kwietnia.

✚ 29 marca w Bazylice Matki Bożej Pocieszenia i św. Stanisława Biskupa w Szamotułach w ramach „Ewangelii w wirtualnej rzeczywistości" odbył się pokaz filmu „Ostatnia wieczerza". Widzowie dzięki specjalnym okularom VR mieli okazję przenieść się do Wieczernika sprzed dwóch tysięcy lat i uczestniczyć w wydarzeniach opisanych w Ewangelii. Jak zapewnili organizatorzy, pokazy to doskonała okazja, by poczuć się uczestnikami Ostatniej Wieczerzy, usłyszeć Słowo Boże i spotkać się z Jezusem. Cóż za brak wyobraźni! Przed laty do takich atrakcji wystarczyła garść grzybków halucynogennych albo pół litra.

✚ 26 marca Prokuratura Okręgowa w Zamościu skierowała do Sądu Rejonowego w Radomiu akt oskarżenia przeciwko księdzu Mariuszowi W. Duchowny odpowie za siedem przestępstw, które miały zostać popełnione w latach 2011–2021 w Rzymie, Radomiu, a także innych miejscowościach woj. mazowieckiego i małopolskiego. Akt oskarżenia obejmuje jedno zdarzenie polegające na doprowadzeniu ustalonej pokrzywdzonej do poddania się innym czynnościom seksualnym przy wykorzystaniu jej bezradności, pięć zdarzeń polegających na doprowadzeniu trzech pokrzywdzonych osób do poddania się innym czynnościom seksualnym i w jednym przypadku doprowadzenia do obcowania płciowego przy użyciu podstępu. Klecha oskarżony jest o odurzanie ofiar, przemoc i podżeganie świadków do składania fałszywych zeznań. Ksiądz Mariusz W. został zatrzymany i aresztowany 15 lipca 2024 r. Jurny duchowny nie przyznaje się do zarzucanych mu czynów.

✚ Po walce z chorobą nowotworową zmarł Łukasz Prausa, były ksiądz, który przed laty został wydalony z zakonu pallotynów w związku z kontrowersyjnymi praktykami religijnymi. Eksduchowny utrzymywał, że ma stygmaty. Twierdził także, że jest w stanie uleczyć osoby zmagające się z bezpłodnością, otyłością i rakiem. Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Rys. WIDGET

Biskupi pomagają cudzymi rękami

Raport dla pelikanów

Rys. TOMASZ WIATER

Nikt nie lubi być maglowany ciągle w jednej kwestii, nie lubią tego także biskupi. Zwłaszcza że dopytywani są głównie o temat nadużyć seksualnych kleru oraz ich opieszałości w zwalczaniu tychże. Aby zamknąć buzie krytykom, opublikowali raport za 2024 r. W prezentacji zebrali w liczbach wszystko to, co zrobili we wspomnianym temacie. Liczą zapewne, że mnogość danych i statystyk wywrze wrażenie na maluczkich.

Zrozumienie i współpraca

Jeśliby wierzyć raportowi, to ich ekscelencje od dawna z wielką determinacją angażują się w pomoc ofiarom i prewencję. Raport otwiera kalendarium, które wykazuje, że polscy hierarchowie Kościoła kat. mężnie walczą z przestępcami w sutannach od 2012 r., kiedy to nastąpiło przyjęcie przez Konferencję Episkopatu Polski (KEP) „Wytycznych dotyczących wstępnego dochodzenia kanonicznego w przypadku oskarżeń duchownych o czyny przeciwko szóstemu przykazaniu Dekalogu z osobą niepełnoletnią poniżej osiemnastego roku życia". Normalny człowiek zgubi się w połowie tytułu tego dokumentu, biskupi uznali go jednak za przełomowy.

Jako jedno z ostatnich wartych odnotowania wydarzeń uznali (kalendarium kończy się na 2024 r.) spotkanie delegacji osób skrzywdzonych z biskupami tworzącymi Konferencję Episkopatu Polski na Jasnej Górze. To samo spotkanie, którego uczestnicy uznali potem, że napluto im w twarz, migając się od utworzenia porządnej komisji badającej przypadki pedofilii wśród polskich duchownych. Na ten temat raport milczy. „Na drodze do wzajemnego zrozumienia i współpracy" – tak brzmiał tytuł owego wydarzenia.

Hierarchowie odhaczyli miting, zrobiono pamiątkowe foty, po czym wrócono do zwyczajnej praktyki zamiatania spraw pod dywan. Na drodze do wzajemnego zrozumienia i współpracy ofiary poruszają się pieszo z kulami u nóg, a biskupi są niesieni w lektykach – tak przebiega dialog w tej instytucji.

Katolicyzm z

Ostatnie podrygi tysiącletniego chrześcijaństwa

Kilka lat temu pisowski sejm zaklepał, że chrzest Polski w 966 r. odbył się 14 kwietnia i w związku z tym tego dnia mamy święto państwowe, choć pracujące. Łatwo policzyć, że katolicyzm w Polsce liczy sobie zatem 1059 lat, w czasie których bił najróżniejsze rekordy.

Najnowszym z nich jest pierwsze miejsce na świecie, jeśli chodzi o szybkość sekularyzacji młodego pokolenia w stosunku do religijności ludzi dorosłych i starszych. Wynika tak z badań amerykańskiego Instytutu Pew Research Center, na które masowo powołują się nawet księża. W katolickiej ponoć Polsce jeszcze sześć lat temu deklarujących się jako raczej lub całkowicie niewierzący było 8 proc. ankietowanych, teraz to już 14 proc.

W ciągu 18 lat liczba osób wierzących spadła z 96 proc. do niecałych 80 proc. 12 proc. młodych Polaków określa siebie mianem ateistów. To trzy razy więcej niż 4 proc. młodych głęboko wierzących Polaków.

Jak odejście od religii będzie postępowało w takim tempie, to za kilkadziesiąt lat tym, co nam zostanie po tysiącletnim byciu katolikami, będą zapisane w annałach rekordy i zabytki niczym Machu Picchu czy Angkor Wat.

W górę serca

Największy w świecie pomnik Jezusa Króla Wszechświata stoi w Świebodzinie od 2010 r. Ma 36 m, z czego 3 m to sama korona. Żeby godnie usadzić Króla Wszechświata, trzeba było usypać 16,5-metrowy kopiec, który – w razie gdyby zabrakło miejsca na Wawelu – zawsze można też wykorzystać jako grobowiec. Jezusa świebodzińskiego wykonano w technologii siatkobetonu. Jego głowa waży 15 ton. Serca nie posiada. Monument, łącznie z kopcem, na którym się znajduje, liczy sobie 52,5 m wysokości.

Twórca tego niezapomnianego projektu nazywa się Mirosław Patecki. Szczycił się tym, że postawił o 3 m wyższego Jezusa niż Brazylijczycy w Rio. Co prawda w międzyczasie, czyli w 2011 r. namieszali Peruwiańczycy, stawiając Jezusa wyższego jeszcze o metr, ale okazało się, że w ostatecznym rozrachunku polegli, bo ich figura ma 15 m cokołu, a tylko 22 m to Chrystus właściwy. Czyli nadal mamy najwyższego. Ale już niedługo. W Armenii na górze Hatis niedaleko stolicy kraju, Erywania, buduje się właśnie jeszcze wyższego Jezusa, który ma mierzyć 80 m. Ale ponieważ Armenia według geografii jest w Azji, to Jezus ze Świebodzina będzie największy w Europie.

Najbardziej nielegalny w Europie pomnik Jezusa nosi nazwę Pomnika Wdzięczności Najświętszemu Sercu Pana Jezusa w Poznaniu. Zaplanowany w 1920, postawiony w 1932, zburzony w 1939 r., od lat w trakcie odbudowy pomimo sprzeciwu poznańskiego Wydziału Urbanistyki i Architektury Urzędu Miasta. Na razie odbudowano jedynie czterometrową figurę Chrystusa, której pobłogosławił Antoni Macierewicz (robiący wtedy za szefa MON) w asyście wojska, ale niestety nie poznański magistrat. Prezydent miasta Jacek Jaśkowiak nie chciał Chrystusa przed kościołem na poznańskich Jeżycach. Bo działka, na której znalazł się odbudowany monument, znajduje się w rejestrze zabytków. W przeciwieństwie do samej figury.

Największy na świecie pomnik Jana Pawła II jest do obejrzenia w Częstochowie. 14-metrowy Karol Wojtyła zawitał do Częstochowy 13 kwietnia 2013 r. Zamówił go Park Miniatur Sakralnych, a powitał oficjalnie aktor Jerzy Zelnik. Tylko Stowarzyszenie Architektów Polskich wykazało się wiarą odwrotnie proporcjonalną do wielkości Wojtyły: „wielkość figury" i „jakość przedsięwzięcia" okazała się dla nich „nieprzekonująca". Początkowo również lokalna społeczność była wzburzona sposobem ustawienia figury – na miasto skierowany miał być przenajświętszy papieski tyłek. Dopiero po licznych protestach zdecydowano, że Jan Paweł stanie frontem do pielgrzyma, dokładnie „na osi widokowej Alei Najświętszej Maryi Panny, którą z drugiej strony zamyka Jasna Góra". Jak tłumaczyli przedstawiciele prywatnego inwestora, statua przedstawia Jana Pawła II „z pierwszych minut po wyborze na stolicę Piotrową, kiedy wyszedł do tłumu i z ojcowskim uśmiechem szeroko rozpostarł ramiona". Papież waży 7 ton, dlatego wtaczano go w częściach. Wykonany jest z kompozytu: różnych rodzajów żywic i włókna szklanego. I pewnie tylko temu, że nie jest ze spiżu, zawdzięcza to, że wciąż stoi. Bo park miniatur splajtował i gdyby Wojtyła był z metalu, to pewnie jako masa upadłościowa wylądowałby na złomie.

Niech się mury...

Najdłużej na świecie budowany kościół, Świątynię Opatrzności Bożej, mamy w Warszawie. Miał zostać wzniesiony mocno ponad 200 lat temu jako wotum wdzięczności za możliwość uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Konstytucja padła wraz z Pomroczną numer jeden, a pomysł świątyni – niestety nie. I dlatego przebija Gaudiego w długości budowania. Efekty w postaci „przestrzennej formy sakralnego sześcianu przypominającej rzymski Panteon" są nader widoczne. Mieszkańcy Warsza-

eprasa.pl 9d63dd6775

Najnowsze statystyki podane przez biuro delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży wyglądają tak, że w ubiegłym roku zgłoszono 74 przypadki wykorzystania seksualnego przez księży, z czego dziewięć uznano za niewiarygodne lub odrzucono z innych powodów, 26 potwierdzono lub uwiarygodniono, zaś 39 pozostałych w momencie powstawania raportu nie było jeszcze zbadanych. „Wśród osób, które według wiarygodnych zgłoszeń dokonanych w roku 2024 zostały skrzywdzone wykorzystaniem seksualnym, największą grupę stanowią ministranci (22% osób skrzywdzonych, 18% zgłoszeń), następnie parafianie (18% osób i 15% zgłoszeń), członkowie duszpasterstw/wspólnot/ruchów religijnych (18% osób i 15% zgłoszeń) oraz uczniowie i przygotowujący się do sakramentów (13% osób i 11% zgłoszeń). W blisko co dziesiątym zgłoszeniu brak określenia statusu osoby skrzywdzonej" – czytamy w raporcie.

Fundacja

Za każdą liczbą i procentem stoją tragedie pojedynczych ludzi, ale zaklęte w statystykę wyglądają mniej dramatycznie. Aby nie wyjść na nieczułych potworów, biskupi chwalą się realną pomocą, której udzielają skrzywdzonym. Tzn. właściwie nie oni, a Fundacja Świętego Józefa Konferencji Episkopatu Polski. Powstała ona w 2019 r. i ma w imieniu polskiego kleru służyć pomocą finansową, psychologiczną, prawną i wszelką inną tym, którzy padli ofiarą drapieżców w sutannach. Biskupi szczególnie eksponują w raporcie rolę tej fundacji, przedstawiając doprawdy imponujące liczby i sumy. Podkreślają, że na działalność fundacji składa się każdy ksiądz i biskup. Szeregowy duchowny płaci 150 zł rocznie, purpurat 2000 zł. Do tego dochodzą granty czy wsparcie przyjaciół fundacji. Szczególny rodzaj płatników to duchowni, którzy dopuścili się przestępstw oraz ich protektorzy. Ci w ramach pokuty mają ustalane indywidualne sumy, zależnie od ciężaru winy i stopnia w hierarchii. Donatorem był choćby abepe Sławoj Leszek Głódź. Nie zdążył zapłacić kard. Henryk Gulbinowicz, bo umarł, ale po śmierci ktoś uiścił „ofiarę" za niego. Ile to było w złotówkach, fundacja nie informuje. Umówmy się jednak, że 150 zł dla księdza to jak splunąć, podobnie 2000 zł dla biskupa. A dzięki tej jałmużnie mogą powiedzieć, że wspierają, pomagają, zadość czynią.

„Fundacja otrzymała 3 565 692,13 zł z wpływów statutowych (obowiązkowe składki z diecezji i zakonów męskich, z wpłat zasądzonych oraz od osób indywidualnych). W roku 2024 Fundacja Świętego Józefa na pomoc bezpośrednią osobom skrzywdzonym i pomoc pośrednią wydała 3 773 325,39 zł" – dowiadujemy się z raportu. Będąc uczciwym, nie można więc powiedzieć, że biskupi nic nie robią w tej sprawie. Fundacja wszakże nie cieszy się dobrą opinią wśród całości episkopatu, niektórzy jego członkowie patrzą na nią wręcz wrogo, bo każda taka inicjatywa to pośrednie przyznanie się do winy. W dodatku Fundacji Świętego Józefa szefuje osoba świecka, o zgrozo, kobieta (Marta Titaniec), co czyni tę instytucję jeszcze bardziej podejrzaną w oczach biskupów.

Spisek Polaka

Nieprzejednanym wrogiem fundacji był nieświętej pamięci bepe Edward Janiak, zmarły w 2021 r. biskup kaliski. Uważał on powołanie fundacji za spisek prymasa Wojciecha Polaka, który wbrew interesowi Kościoła i episkopatu doprowadził podstępnie do jej powstania. „Jestem 24 lata biskupem i nigdy wbrew tajnemu głosowaniu, gdzie wynik był negatywny, nie zmieniono decyzji na pozytywny. Tym razem było inaczej. (…) Wówczas wystąpiło dwóch biskupów, z Opola i Lublina, z głosem, żeby odstąpić od decyzji o niepowoływaniu Fundacji, gdyż ks. Prymas już podał do publicznej wiadomości, że KEP zatwierdziła Fundację i podał jej skład zarządu, w którym była p. Titaniec" – pisał Janiak do reszty biskupów w piśmie, w którym oskarżał prymasa o nielojalność także wobec niego osobiście. Zarzucał swojemu koledze, że dał wiarę pismakom: „uderzył w biskupa diecezjalnego i wydał na niego wyrok – pomimo możliwości skonfrontowania informacji zawartych w filmie Sekielskich z krokami podjętymi przez diecezję kaliską". Watykan także dał wiarę w winę Janiaka, który wkrótce „został zrezygnowany", a niewiele później zmarł.

Fundacja o tyle cieszy się zaufaniem ofiar, że nie dominują w niej księża. Powtórne kontakty z przedstawicielami kleru, którzy w dzieciństwie ich skrzywdzili, to przecież ponowna trauma. Poza tym wiadomo, że klechom w najbłahszych sprawach nie można ufać, a co dopiero w tak delikatnych. Nie wszyscy cywile, którzy zostali zaproszeni do struktur fundacji, wytrwali w gremium pod patronatem episkopatu. W lutym 2021 r. z bycia członkiem Rady Fundacji zrezygnował Robert Fidura, który był przedstawicielem skrzywdzonych przez kler. Wywiad z Fidurą nt. wspomnianego wyżej spotkania ofiar z biskupami na Jasnej Górze pojawił się na naszych łamach pod koniec ubiegłego roku.

Zapytany przez Katolicką Agencję Informacyjną, co skłoniło go do rezygnacji z uczestnictwa w Radzie, odpowiadał: „Przede wszystkim postawa biskupów. Dostrzegam w niej znamiona hipokryzji: z jednej strony wpłacają na Fundację, z drugiej w szafach mają pełno »trupów«. Pokazała to dobitnie sprawa ks. Dymera. 25 lat krycia, kluczenia, udawania, a nawet kłamania – jak w przypadku abp. Kamińskiego mówiącego, że ks. Dymera nie skazano w procesie kanonicznym". Zaś o działalności fundacji: „Robi, co może. Na co pozwala jej statut. Przypomnę tylko – statut uchwalony przez KEP. Pomaga bezpośrednio pokrzywdzonym, ale także zajmuje się systemem prewencji, finansuje działania z tego zakresu, szkolenia, finansuje także Centrum Ochrony Dziecka. Swoją drogą warto przypomnieć, że KEP powołała COD, ale zapomniała, że trzeba je finansować…".

Rys. TOMASZ WIATER

Kwiatek do kożucha

Nic nadzwyczajnego, że tzw. świeccy nie chcą pracować z klerem, bo to droga przez mękę, a efektów nie widać. W 2017 r. z członkostwa w Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich zrezygnowała Irlandka Marie Collins. Tak opisywała powody swojej rezygnacji: „Przyjmując nominację, zapowiedziałam, że nie pozostanę w Komisji, jeśli dostrzegę sprzeczność między tym, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami, a tym, co jest mówione publicznie. I tak się zdarzyło, więc ustąpiłam". Rozmawiając zaś z Polską Agencją Prasową o kryzysie w polskim Kościele kat., mówiła: „Niestety w sytuacji w Polsce nie ma nic nowego. To po prostu następny kraj, w którym to, co przez lata było utrzymywane w sekrecie, wychodzi na jaw". Żebyśmy się czasem nie poczuli zbyt wyjątkowi.

Doceniając te niemrawe ruchy w kierunku pomocy ofiarom księży, nie można zapominać, że w tym samym czasie biskupi migają się jak mogą od wypłacania zadośćuczynień przyznawanym pokrzywdzonym przez państwowe sądy. Fundacja to kwiatek do kożucha, przed realną odpowiedzialnością purpuraci nadal uciekają, zasłaniając się przy tym frazesami o tym, że nie można stosować odpowiedzialności zbiorowej wobec kleru za występki poszczególnych duchownych. 2 tys. zł rocznie zrzuty na Fundację Świętego Józefa jest mniej groźne dla portfela niż kilkaset tysięcy kilka razy w roku. Zamiast zaś św. Józefa, na patrona swojej fundacji biskupi powinni wybrać raczej Judę Tadeusza, speca od spraw beznadziejnych.

MATT KOBOSKO

najdłuższą brodą

wy zdążyli odkryć jej prawdziwe przeznaczenie, dochodząc do wniosku, że jest to ogromna wyciskarka do zmutowanych cytryn z kosmosu, a tylko dla niepoznaki urządzono tam Muzeum Jana Pawła II oraz Prymasa Wyszyńskiego, Centrum Opatrzności Bożej oraz Panteon Wielkich Polaków. Pochowano tam całą masę ludzi oraz księdza Twardowskiego, który nie chciał być pochowany w wyciskarce do cytrusów, co jest jak najbardziej zrozumiałe. Wyciskarka służyła od zawsze do transferu pieniędzy z kasy państwowej do kościelnej. Nikt nie jest w stanie policzyć, ile podatnicy na to dali, ale na pewno grubo ponad 100 mln zł. Świątynia otrzymała antynagrodę architektoniczną Makabryła na najbrzydszy budynek w Polsce oddany do użytku w 2016 r., co nie przeszkadza wciąż na nią wyciągać kasy od kogo się da, bo przecież jej wykańczanie trwa i trwa mać.

Największa bazylika mniejsza w Europie Środkowej stoi w Licheniu i z punktu widzenia kubatury jest siódmym w Europie i 11. na świecie kościołem. Nazywa się Bazylika Matki Bożej Bolesnej Królowej Polski i budowano ją od 1994 do 2004 r. Kubatura – 300 tys. m sześc. Powierzchnia – 23 tys. mkw. Długość – 139 m. Szerokość elewacji frontowej – 162 m. Szerokość w osi transeptu (cokolwiek to znaczy) – 144 m. Wysokość nawy głównej – 44 m. Wysokość krzyża wieży – 141,5 m. 365 okien i 52 otwory drzwiowe. Okna ze szkła w kolorze bursztynu. Na górnym poziomie znajdują się największe w Polsce organy. Ich najdłuższa piszczałka liczy 783 cm wysokości. W dzwonnicy ważący prawie 15 ton dzwon. Kopuła ma trzy płaszcze poszycia. Zewnętrzne wykonano z anodowanego na złoty kolor aluminium. Złożyło się na nie ok. 35 tys. dachówek w kształcie rombu. Wewnętrzny płaszcz wykonany został ze stali chromo-niklowej. Trzeci płaszcz stanowi dekoracyjna srebrno-złota czasza połączona z pierścieniami górnymi. Na szczycie kopuły wojskowy śmigłowiec umieścił krzyż mierzący 13 m. Na górnym poziomie świątyni znajduje się około 3 tys. miejsc siedzących i około 7 tys. miejsc stojących. Na temat urody architektonicznej obiektu nie chce się wypowiadać żaden szanujący się projektant budynków.

Mamy też kościół wybudowany głównie po to, by pomieścić największą na świecie liczbę dostojników państwowych na otwarciu. Wszak obecni na pokropku kościoła Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i świętego Jana Pawła II w Toruniu byli: marszałek sejmu Kuchciński, premier Szydło, ministrowie: Macierewicz, Ziobro, Błaszczak, Kempa, Jurgiel, Adamczyk, Szyszko, prezes Kaczyński i większość posłów. Prezydent Duda przesłał list, który odczytał szef jego gabinetu.

Budowa ruszyła w 2012 r. Szacunki mówią, że kosztowała 150 mln zł. Sama kopuła to ok. 16 mln zł, a w środku żyrandole z tombaku, witraże, marmur niebieski i biały sprowadzany z Wietnamu oraz stacje drogi krzyżowej wykute z metalu. No i 900 miejsc siedzących. Dla miejscowych kościół jest piramidą. Ale nie Cheopsa, tylko Tadeusza Rydzyka.

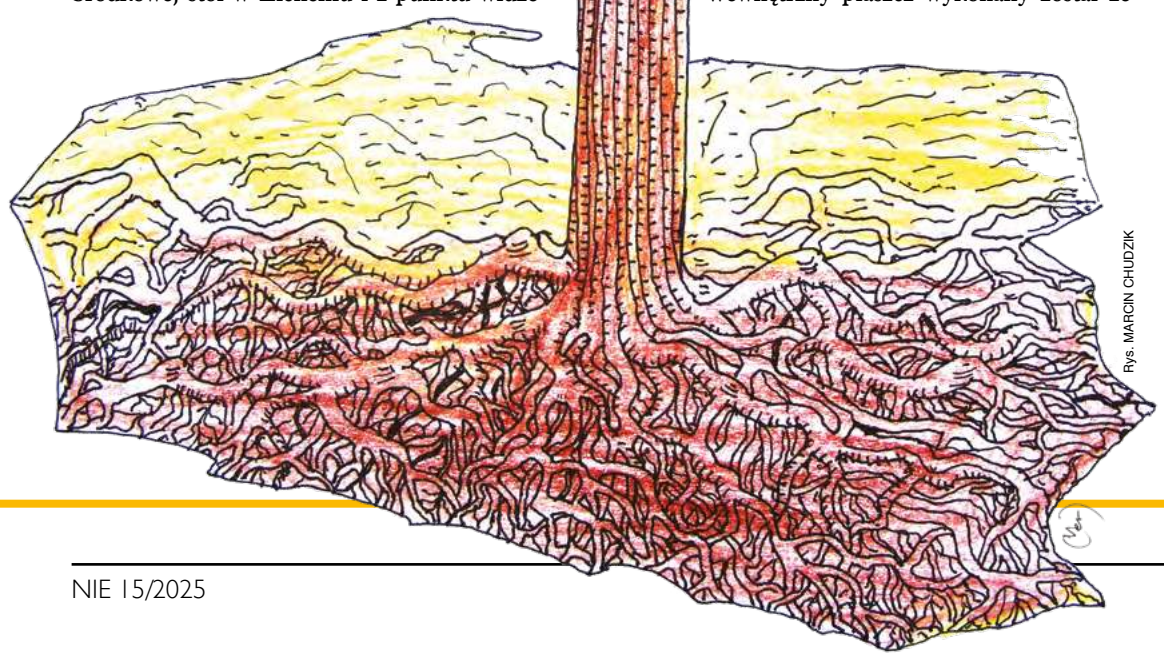
Rys. MARCIN CHUDZIK

Jak nie sklepem, to kajakiem

Najbardziej na świecie upamiętniony sklep jest przy Domu Ludowym w Pastwiskach. 2 listopada 2013 r. odsłonięto tam tablicę upamiętniającą pobyt Karola Wojtyły w Beskidzie Niskim. „W tym domu mieścił się sklep spożywczy, w którym w latach 60 i 70 XX w. robił zakupy Ks. Kard. Karol Wojtyła w czasie pobytu i wędrówek po Beskidzie Niskim – Mieszkańcy Pastwisk, 2.11.2013" – głosi napis polecający wiernym wspominanie papieża w drodze po bułki i mielonkę.

Do światowej historii kolejnictwa przeszedł najbardziej nierentowny Kolejowy Szlak Papieski. Obok Małopolskiego, Gorczańskiego, Podhalańskiego i Dolnośląskiego Szlaku Papieskiego, Szlaku Papieskiego w Beskidzie Wyspowym oraz Szlaku Papieskiego Harmęże – Kozy – Straconka, był to powstały za pierwszych rządów PiS i zamknięty w roku Euro 2012 szlak pielgrzymkowy z papieskim pociągiem kursującym „po malowniczej okolicy związanej z historią Jana Pawła II". Żółty pociąg śmigał na trasie Kraków Główny – Kraków Płaszów – Skawina – Kalwaria Zebrzydowska – Wadowice. Z powodu nierentowności i źle ułożonego rozkładu jazdy szlak został zapomniany przez Boga i pasażerów. Przez pewien czas pociąg papieski EN61-01 rdzewiał nieużywany na bocznicy w Suchej Beskidzkiej, po czym zmartwychwstał i – pozbawiony napisu „Totus Tuus" oraz herbu papieskiego – woził pasażerów na zupełnie świeckiej trasie Kraków – Wadowice, a czasem nawet do Zakopanego.

Najdłuższy na świecie Szlak Kajakowy im. Jana Pawła II leży na północny zachód od Piły. Ma 28,9 km długości i do roku 1993 nosił nazwę szlaku Rurzycy, od miana prawego dopływu Gwdy. Ponieważ jednak w 1978 r. przemieszczał się tamtędy kajakiem ksiądz kardynał Karol Wojtyła, to wydarzenie to upamiętniają teraz pomnik papieża Polaka nad jeziorem Krąpsko Średnie i nazwa trasy spławu.

W Rypinie jest największy witraż w Europie. A właściwie witraże. Pierwszy powstał w 1993 r. i ma tytuł „Ostatnia Wieczerza". Usytuowany jest w centralnej części rypińskiego kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego i zajmuje powierzchnię 212 mkw. Krytycy sztuki uznają, że nowatorstwo polega w witrażu na balansie kolorów i geometrii. No i na tym, że łatwo można rozpoznać postać Judasza. Bo jest rudy.

Drugi witraż znajduje się w lewej nawie kościoła, jego powierzchnia jest taka sama co witraża głównego. Poświęcił go ówczesny biskup płocki Stanisław Wielgus. W 2005 r., kiedy jeszcze nie był postrzegany jako świadomy i tajny współpracownik organów bezpieczeństwa PRL. Witraż przedstawia abstrakcyjną wizję stworzenia świata. Tak abstrakcyjną, że krytycy się do niej nie odnoszą.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl 9d63dd6775

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kto da więcej

Trump myśli o Rosji i Ukrainie w kategoriach rachunku zysków i strat

Obserwując prowadzone przez Trumpa negocjacje w sprawie konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, można dojść do wniosku, że amerykańskiemu prezydentowi w mniejszym stopniu chodzi o zakończeniu tego konfliktu, zagwarantowanie bezpieczeństwa Ukrainy itd., a bardziej – jak to w jego zwyczaju – o zwykły biznes. Interesuje go tu kilka kwestii.

Kalkulacje i apetyty

Po pierwsze, wykalkulował, że wojna na Ukrainie jest nieopłacalna. Przez trzy lata Stany ładowały furę kasy, Ukraina nie zdołała wygonić ze swego terytorium rosyjskich wojsk, a tylko wysysa pieniądze z zewnątrz i na potęgę się zbroi – bez widocznych efektów. I dlatego Trump żąda, aby Ukraina zwróciła te miliardy dolców, które dostała od USA, na co nie chce się zgodzić Zełenski, wychodząc z założenia, że kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera. Trump nie protestuje przeciwko lansowanym w zachodniej Europie pomysłom dotyczącym wysłania na Ukrainę wojsk NATO, które w założeniu miałyby kontrolować zawieszenie broni – jednak z góry deklaruje, że USA swoich wojaków tam nie wyśle. A niech sobie inni jadą i co mnie to obchodzi.

Po drugie, wyczuł okazję do wzbogacenia się kosztem Ukrainy. Biorąc pod uwagę przewagę Rosji w wojnie, może traktować ukraińskie władze – łącznie z prezydentem – z pozycji siły. Stąd jego żądanie oddania pod amerykański nadzór ukraińskich zasobów metali rzadkich. A jest o co się starać. Szacunkowa wartość tych drogocennych surowców waha się od 350 mld dol. – według oficjalnych źródeł ukraińskich – do 14,8 bln w obliczeniach magazynu „Forbes". Owszem, doprowadzimy do odzyskania przez Ukrainę zajętych przez Rosję terenów, ale w zamian będziecie musieli podzielić się z nami podziemnym bogactwem. Negocjacje co do ostatecznego kształtu umowy jeszcze trwają – jednak wygląda na to, że w takiej lub innej formie zostanie w końcu zawarta. Zwłaszcza że Trump wyraźnie stwierdził, że Ukraina chce zawrzeć ten deal, ponieważ nie ma innego wyboru.

Ukraińskie podziemne surowce są łakomym kąskiem nie tylko dla USA. Sygnalizuje to wypowiedź niemieckiej ministerki spraw zagranicznych Annaleny Baerbock, która oświadczyła, że amerykańsko-ukraiński deal powinien być zgodny z prawem Unii Europejskiej w związku z dążeniem Ukrainy do członkostwa w UE.

Odmiennego zdania jest Zełenski – twierdzi, że ów deal nie powinien stanowić przeszkody w przyszłym członkostwie Ukrainy w Unii. I tym razem ma rację, bowiem

traktaty europejskie nie zabraniają państwom członkowskim wyprzedaży majątku krajom spoza UE. Skoro Chińczycy mogli kupić grecki port morski w Pireusie, dlaczegóż by Ukraina nie mogła pozbyć się swoich kopalin na rzecz USA?

Trzeba też brać pod uwagę i to, że układ z USA jest możliwy w stosunkowo krótkiej perspektywie czasowej – w odróżnieniu od ewentualnego wejścia do Unii Europejskiej.

USA coraz bliżej Rosji

W podobny sposób Trump pogrywa z Rosją. Tak jak Kijów, również Moskwa skłonna jest dopuścić Amerykanów do swoich zasobów mineralnych w zamian za utrzymanie terenów na wschodzie Ukrainy. Putin stwierdził niedawno, że rosyjskie zasoby są znacznie większe od ukraińskich, co można odczytać jako bezpośrednią ofertę skierowaną do Waszyngtonu. Jednak nie musi to – jak w przypadku Ukrainy – oznaczać oddania zasobów mineralnych Stanom Zjednoczonym. Chodzi tu raczej o przyciągnięcie amerykańskich inwestorów.

W tym celu udał się do Waszyngtonu szef Rosyjskiego Funduszu Inwestycji Bezpośrednich Kirił Dmitriew, który wcześniej uczestniczył w rosyjsko-amerykańskich rozmowach w Arabii Saudyjskiej. Jego wybór na kluczowego negocjatora ze stroną amerykańską ma racjonalne uzasadnienie. Po pierwsze, dzięki bliskim powiązaniom biznesowym z rodziną Putina może być przezeń traktowany jak osoba zaufana, która nie wywinie jakiegoś niezgodnego z prezydencką linią numeru. Po drugie, Dmitriew jest absolwentem prestiżowych uniwersytetów Stanforda i Harvarda, więc znakomicie zna nie tylko język, ale i mentalność elit USA. Jego status „insidera" wspomaga fakt, że podczas pierwszej kadencji Trumpa nawiązał na Seszelach kontakt z ważnym amerykańskim biznesmenem – bratem ówczesnej szefowej resortu edukacji. Również z tych względów amerykański prezydent skłonny był zaakceptować Dmitriewa jako negocjatora. Potwierdza to wypowiedź Steve'a Witkoffa, który po powrocie z prywatnej wizyty w Moskwie nazwał Dmitriewa „ważnym interlokutorem budującym most pomiędzy obu stronami".

Swoistą ciekawostką jest to, że Dmitriew trzy lata temu został wciągnięty na amerykańską listę osób objętych sankcjami. Jednak w Waszyngtonie poradzono sobie z tym w prosty sposób: Departament Skarbu tymczasowo zawiesił wobec niego sankcje. Czy można to odczytać jako zapowiedź zniesienia lub złagodzenia amerykańskich sankcji w stosunku do Rosji? Jak na razie sprawa ta nie jest przedmiotem negocjacji. „Nie występowaliśmy o jakiekolwiek złagodzenie sankcji" – oświadczył Dmitriew po rozmowach z Amerykanami i dodał, że tematem dyskusji była gotowość USA do robienia interesów w Rosji; zawłaszcza współpracy w zakresie eksploatacji metali rzadkich. I taki był główny cel wizyty rosyjskiego wysłannika w Waszyngtonie, choć oprócz tematów biznesowych wypowiedział się także na temat gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy – stwierdził, że takie gwarancje w jakiejś postaci są do przyjęcia.

Dobra wola wuja Sama

Realnie patrząc, można spodziewać się wycofywania się USA z antyrosyjskich sankcji – niezależnie od tego, iż Donald Trump grozi ich zaostrzeniem, gdyby Rosja nie zawarła porozumienia pokojowego na amerykańskich warunkach. Dla biznesmena Trumpa bardziej niż sankcje opłacałoby się wejście na rosyjski rynek: eksport amerykańskich towarów, a przede wszystkim udział w rynku inwestycyjnym. Póki co jednak nie śpieszy się on ze zmianami w sprawie sankcji, traktując je jako element przetargowy w negocjacjach.

Warto przy okazji zwrócić uwagę na to, że kiedy Dmitriew prowadził rozmowy w USA, Trump ogłosił podwyższenie ceł na towary sprowadzane ze 185 państw, ale nie z Rosji i sprzymierzonych z nią krajów jak Białoruś, Kuba i Korea Północna. Amerykański resort finansów tłumaczy to niewielkimi rozmiarami handlu z Rosją; istotnie, w ciągu ostatnich trzech lat wartość obrotów między obu krajami spadła o 90 proc. To tłumaczenie jest jednak o tyle nieprzekonujące, iż np. na towary z Kazachstanu – z którym obroty kształtują się na niemal takim samym poziomie co z Rosją: 3,4 mld dol. rocznie – nałożono cła w wysokości 27 proc.

Bardziej prawdomówny okazał się szef prezydenckiej Narodowej Rady Ekonomicznej Kevin Hassett, który powiedział szczerze, że decyzja Trumpa nie wynika ze specjalnego traktowania Rosji, lecz ma na celu uniknięcie konfliktów w trakcie negocjacji. Faktycznie, można zrozumieć, że w czasie delikatnych rozmów dwustronnych Stany nie chcą sobie zrażać rosyjskiego partnera; a jednocześnie trzymają w zanadrzu straszak w postaci ceł, którego mogą użyć w dowolnym momencie.

O tym, że nowa amerykańska administracja diametralnie zmieniła podejście USA do Rosji, wyraźnie świadczy wypowiedź prezydenckiego wysłannika Steve'a Witkoffa. Wprost powiedział on to, co Rosja konsekwentnie powtarza: że celem ataku była ochrona rosyjskojęzycznych mieszkańców na wschodzie Ukrainy. Oraz że referenda we wschodnich obwodach były wyrazem woli głosujących, którzy w przeważającej części opowiedzieli się za przynależnością do Rosji. Z jednej strony wypowiedź tę można traktować jak oznakę poparcia dla Rosji; z drugiej zaś za sygnał skierowany w stronę Ukrainy: uważajcie, bo jeśli nie zgodzicie się na naszą kolonizację spornych terenów, to doprowadzimy do tego, że zatrzyma je sobie Rosja.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Trumpolandia

Social Security to amerykański ZUS: pracownicy i pracodawcy płacą na niego składkę (najczęściej po 6,2 proc. od obu stron), z czego później wypłacane są emerytury i renty. Ten publiczny system emerytalny stanowi 22 proc budżetu federalnego i zapewnia utrzymanie 68 mln ludzi. Administrację Trumpa wyraźnie oburza, że tyle szmalu przeżerają biedacy, podczas gdy mógłby pójść na cięcia podatkowe dla miliarderów. W orędziu do Kongresu Trump ogłosił, że emeryturę dostaje 20 mln stulatków, a są wśród nich nawet 150-latkowie. Vance dodał ostatnio: „40 proc. osób, które występują z wnioskiem o emeryturę, to oszuści". Oczywiście obydwaj łżą – według zeszłorocznego raportu Biura Inspektora Generalnego, czyli czegoś na kształt amerykańskiego NIK, nadużycia stanowią poniżej 1 proc. wypłacanych świadczeń. Ale zabawne jest co innego: otóż system informatyczny Social Security opiera się na COBOL – języku programowania powstałym w roku 1959 – i ma taką oto usterkę, że automatycznie wpisuje datę urodzenia, jeśli rubryka ta nie zostanie wypełniona przez urzędnika wprowadzającego dane. Data, którą COBOL z bliżej nieznanych powodów najczęściej wybiera, to 20 maja 1875.

Sekretarz obrony Pete Hegseth wywalił z roboty wiceadmirał Shoshanę Chatfield, przedstawicielkę USA w Komitecie Wojskowym NATO. Chatfield, pilotka helikoptera i pierwsza kobieta na czele Naval War College, jest czwartą z kolei kobietą na najwyższych stanowiskach dowódczych zastąpioną przez faceta. Wiceadmirał podpadła Hegsethowi swoim wystąpieniem podczas amerykańskiego Dnia Równości Kobiet, gdzie stwierdziła, że różnorodność armii USA jest jej siłą – co szef Pentagonu uznał za „najgłupsze zdanie w historii wojskowości". Wybryki Hegsetha irytują nawet republikanów – senator Mitch McConnell, wieloletni przywódca senackiej frakcji republikańskiej skomentował: „Jeśli dziesięciolecia doświadczenia w mundurze nie wystarczą do kierowania NSA, ale izolacjoniści amatorzy mogą zajmować wysokie stanowiska polityczne w Pentagonie, to jakie dokładnie są kryteria pracy w sztabie bezpieczeństwa narodowego tej administracji? Nie mogę tego rozgryźć".

W administracji Donalda Trumpa doszło do niejakiego rozdźwięku. Po likwidacji USAID – agencji zajmującej się budową „miękkiej siły" USA w świecie za 1 proc. budżetu federalnego (z czego 80–90 proc. zostawało w USA jako koszty funkcjonowania amerykańskich organizacji pomocowych) – szef departamentu stanu Marco Rubio zapowiedział, że około tysiąca grantów ocaleje z pogromu. Chodziło o programy pomocy żywnościowej kierowanej do miejsc, gdzie ludzie generalnie umierają z głodu – Somalii, Afganistanu, obozów dla uchodźców w Libanie i Jordanie. Teraz okazuje się, że niekoniecznie. Jak wyjaśnił 28-letni geniusz z ekipy Muska Jeremy Lewin, ostatnio mianowany dyrektorem operacyjnym (czyli likwidatorem) USAID, programy te zostaną jednak zlikwidowane „dla wygody rządu USA". Wygoda rządu Donalda Trumpa wyraźnie nie wymaga nieumierających z głodu Somalijczyków.

Rys. MARCIN CHUDZIK

AWŁ

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

O mobilizacji wojskowej na Ukrainie pisze na łamach „Rzeczpospolitej" Rusłan Szoszyn: *Trwająca już od ponad trzech lat mobilizacja nad Dnieprem zaczyna coraz mocniej szwankować.* (…) *[We Lwowie] zupełnie przypadkowe kobiety wdały się w szarpaninę z pracownikami miejscowego wojskowego centrum uzupełnień, którzy siłą próbowali „zmobilizować" jednego z przechodniów. W konsekwencji mężczyzna uciekł, a policja musiała uspokajać rozgniewany tłum i zdesperowanych wojskowych. Od podobnych nagrań roi się w ukraińskich sieciach społecznościowych – pochodzą z wielu miast. Rzecznik praw obywatelskich* (…) *alarmował pod koniec marca, że „naruszenia praw człowieka przez pracowników Terytorialnych Centrów Poboru i Pomocy Społecznej nabrały charakteru systemowego i masowego". Mówił m.in. o tym, że dochodzi do „pobić" i „bezprawnych zatrzymań" mobilizowanych w miejscach publicznych.* Niewielu chce walczyć za bycie amerykańską kolonią.

Publicysta tygodnika „Do Rzeczy" Łukasz Warzecha komentuje na portalu X doktrynę „wgniatania Putina w ziemię" Szymona Hołowni: *Gdyby taki Hołownia był na miejscu Churchilla na ten przykład, to oczywiście nie doszłoby do pokonania Hitlera, bo na propozycję zawiązania aliansu ze Stalinem pan Hołownia pokazałby zdjęcie jakiejś ofiary gułagu i dumnie oznajmił, że z jej mordercą „nie ma żadnej rozmowy".* (…) *Jakie to jest nieszczęście, że pan Bóg pokarał nas taką skretyniałą, skrajnie dziecinną klasą polityczną.* Musimy zmartwić red. Warzechę. Boga nie ma, a jakość klasy politycznej jest wyłącznie zasługą Polaków.

Odnotowujemy z radością, że publicystka naszego tygodnika prof. Joanna Senyszyn sprzeciwiła się na antenie RMF FM militarystycznej gorączce: *Jestem przeciwna 5 proc. PKB na obronność. 3,5 proc. to jest dobry odsetek. Tak naprawdę uważam, że wojna nam nie grozi. Putin nie wywoła wojny światowej ani wojny z Polską. Nie ma takich interesów. My mamy interes, żeby mniej wydawać na zbrojenia. Chciałabym, żeby Polacy wiedzieli, co to znaczy wydawać 5 proc., a nie 3,5 proc. – to 90 mld zł rocznie, które są potrzebne chociażby na to, by poprawić sytuację 17 mln Polaków, którzy żyją na granicy ubóstwa.* A może wystarczyłoby 2 proc. na wojsko, jak dawniej?

Państwowy Komitet Celny Białorusi poinformował o udaremnieniu na przejściu granicznym w Brześciu przemytu 580 kg pentrytu – jednego z najsilniejszych materiałów wybuchowych. Jak zeznawał kierowca ciężarówki, ładunek został przywieziony z Litwy i docelowo miał trafić do Rosji. W telefonicznej rozmowie z prezydentem Łukaszenką Władimir Putin pogratulował białoruskim celnikom zatrzymania groźnego ładunku, który mógł posłużyć do przeprowadzenia operacji terrorystycznej. Zastanawia nas, jak to możliwe, że polscy celnicy są w stanie wyłapać na granicy pojedynczy karton papierosów, a nie dostrzegli przeszło pół tony materiału wybuchowego.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 9d63dd6775

Sny olimpijskie

Niech nikogo nie zwiedzie niespodziewane ochłodzenie. Sezon sportów zimowych się skończył.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ten sezon był ważny, bo przedolimpijski. 2 lutego przyszłego roku rozpoczną się igrzyska w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo, a wypadałoby dodać jeszcze Weronę, bo w tamtejszym amfiteatrze odbędzie się ceremonia zamknięcia imprezy. Z czym polska reprezentacja pojedzie do Włoch?

Wbrew pozorom nie jest tak źle. Mamy medalowe szanse. Ale nie w skokach narciarskich ani w biegach. To już nie te czasy, gdy trzymaliśmy kciuki za skoczków Adama Małysza, Kamila Stocha czy biegaczkę Justynę Kowalczyk. Te dyscypliny bardzo u nas podupadły, a w dodatku w kadrze skoczków doszło do skandalu.

Nadzieje w snowboardzie

Czy zatem polskie narciarstwo jest bez olimpijskich szans? Na szczęście nie, bo w jego skład wchodzi także snowboard. Trzykrotna olimpijka specjalizująca się w snowboardowym slalomie równoległym Aleksandra Król, brązowa medalistka mistrzostw świata w 2023 r., przerwała karierę, postanowiła zostać matką. Teraz, już jako Aleksandra Król-Walas i mama córeczki, wróciła do sportu i zapewnienia, że brakuje jej do kolekcji tylko medalu olimpijskiego nie są czczymi przechwałkami. W zakończonym sezonie podczas mistrzostw świata w Engadynie zdobyła brązowy medal. Aleksandra Król-Walas jest mądrą, spełnioną życiowo kobietą, a to zwiększa szanse podczas igrzysk. W jej olimpijski medal bardzo wierzę, umiejętności ma, doświadczenie też, ale akurat w snowboardowym slalomie czasem maleńki błąd decyduje o porażce. Tam walczy się o setne części sekundy.

W narciarstwie alpejskim mamy co prawda Martynę Gasienicę-Daniel, ale jej szanse w Cortinie d'Ampezzo są raczej znikome. Ona w całym tym śnieżnym cyrku trzyma się tylko dzięki własnej ambicji, pomocy życzliwych ludzi i sponsorów. W tej arystokratycznej dyscyplinie można w ten sposób kręcić się w trzeciej, nawet sporadycznie w drugiej dziesiątce, ale to wszystko. Do odnoszenia sukcesów potrzebna jest potężna machina. Takiej nie mamy, zresztą nie stać nas na nią.

W tym sezonie redakcja TVP Sport postawiła na biathlon. To niezmiernie trudna dyscyplina. Trzeba świetnie biegać na nartach i celnie strzelać. Tomasz Sikora zdobył srebrny medal olimpijski w Turynie w 2006 r. Ile zdobywał trofeów podczas mistrzostw świata, Europy, Uniwersjady, Pucharów Świata, nie podejmuję się wyliczyć, wystarczy powiedzieć: bardzo dużo.

Gdyby w czasach Tomasza Sikory TVP Sport przeprowadzała tyle transmisji z zawodów, co teraz, cieszyłyby się na pewno dużym powodzeniem. Obecnie specjalni wysłannicy podczas bezpośrednich relacji opowiadali o miejscach Polaków w trzecich, nawet czwartych dziesiątkach. Trudno tym porwać publikę. Dlatego nie brakowało wywiadów ze światowymi gwiazdami i ciekawostek, Na pewno telewizyjni dziennikarze spisują się lepiej, niż nasi biathloniści.

Amatorskie ambicje

Teraz pomówmy o dyscyplinach, w których podczas igrzysk olimpijskich nie będziemy reprezentowani. Zacząć wypada od curlingu. Gdyby w Italii przyznawano medale w konkurencji największa liczba afer, nasz curling byłby pierwszym kandydatem do złotego medalu. Już nawet nie potrafię sobie przypomnieć wszystkiego złego, co się tam działo. Najbardziej zapadł w pamięć fakt przyjęcia do związku klubików z innych dyscyplin, np. karate czy kajakarstwa. Chodziło o liczbę głosów podczas walnego zgromadzenia, zależną właśnie od liczby zrzeszonych klubów.

Wybrany tak zarząd przystąpił prędko do wydawania niezgodnie z przeznaczeniem przyznanych przez ministerstwo funduszów. Zwrócić kwot nie było jak, do akcji wkroczył komornik, międzynarodowa federacja skreśliła polski curling i zabroniła uczestnictwa w imprezach pod jej auspicjami. Przykre, że większość tych spraw miała miejsce, gdy w fotelu prezesa zasiadał Marek Jóźwik, mój kolega dziennikarz, z którym zajmowaliśmy wspólny pokój w dziale sportowym „Trybuny Ludu", a wcześniej dobry lekkoatleta, olimpijczyk.

O dziwo, reprezentacja Polski w curlingu istnieje, odniosła nawet pewien sukces, awansowała bowiem w mistrzostwach świata z dywizji B do dywizji A. Tyle że reprezentacja Polski to w rzeczywistości drużyna Wałbrzyskiego Klubu Curlingowego. Tego wszystkiego, jak mawiają ludzie w kraju urodzenia mojej żony: *Bez wodki nie rozbieriosz*.

Swego czasu oglądałem dużo meczów hokeja na lodzie. To najszybsza gra zespołowa na świecie, do tego – chyba można użyć takiego sformułowania – momentami brutalna. Jako dziennikarz sportowy dwukrotnie wysyłany byłem na mistrzostwa świata: do Belgradu (grupa B) i do Moskwy (grupa A). W tamtych czasach podział na grupy był bardzo czytelny. Najlepsi spotykali się w grupie A, słabsi w grupie B, za nimi była grupa C i tak dalej, nawet nie wiem, do której litery alfabetu. Nasi reprezentanci byli za słabi na grupę A, za mocni na grupę B i tak co roku wędrowali z jednej do drugiej. Dziś podział na grupy jest mniej czytelny, czytelne jest tylko to, że nasi nie łapią się do światowej czołówki, więc na igrzyska olimpijskie do Włoch nie pojadą. Ani mężczyźni, ani kobiety, choć walczyli o olimpijską kwalifikację bardzo ambitnie.

Nasze panie miałyby szanse nawet na złoto, gdyby igrzyska olimpijskie przeprowadzano według zasad ich twórcy i pomysłodawcy barona Pierre'a de Coubertina. Chciał, żeby startować mogli tylko amatorzy. Nasze hokeistki są czystymi amatorkami, z profesjonalistkami nie mają najmniejszych szans, choćby grały Bóg wie jak ambitnie.

Wina systemu

Przyzwyczaiłem się do tego, że oglądam sportowców, a kiedyś pasjonowałem się występami ich ojców lub matek. Ale wnuków? Naprawdę muszę mieć sporo latek na karku, skoro tak się zdarzyło. W reprezentacji Polski hokeistów gra Filip Komorski. Ja oglądałem i opisywałem jego dziadka Włodzimierza Komorskiego, czołowego środkowego napastnika reprezentacji i warszawskiej Legii.

Za moich czasów panowało przekonanie, że polski hokej zajmowałby wyższe miejsce w hierarchii, gdybyśmy mieli więcej krytych sztucznych lodowisk. Dziś je mamy, a hokej reprezentacyjny jest jeszcze słabszy.

Mamy więc nowe tłumaczenie: brakuje systemu, który pozwalałby płynnie przechodzić z wieku juniora do seniora. Prawdę mówiąc, w ten sposób można tłumaczyć brak sukcesów we wszystkich dyscyplinach.

Odkryte lodowiska były za mojej młodości przy każdej szkole, klimat na to pozwalał. Jeśli woźny gdzieś nie wylał lodowej tafli, placówkę zaraz opisali w „Ekspressie Wieczornym" albo w innej gazecie i dostawał po uszach.

Chodziłem – jak inni chłopcy – do szkoły z hokejówkami, dziewczyny z figurówkami. Ślizgaliśmy się na dużej przerwie i po lekcjach. Masowość łyżwiarstwa była więc totalna, ale ani w hokeju, ani w łyżwiarstwie figurowym na wyżyny się nie wzbiliśmy.

Figurówki dla chłopaków były w szkole obciachem, ale to właśnie Grzegorz Filipowski – o którym pamiętają tylko starsi kibice – przedarł się do międzynarodowej czołówki. Na olimpijskie medale w łyżwiarstwie figurowym w Mediolanie nie mamy co liczyć. Urocza kobieta o wyglądzie dziewczynki Katia Kurakowa kręci się w okolicach czołowej dziesiątki, no, może raczej dwudziestki, i do podium jej daleko. Kurakowa uczyła się kręcić piruety i skakać na łyżwach w Rosji, ale gdy uznano ją tam za nieperspektywiczną, przeniosła się do naszego kraju. Trenuje za granicą, mieszka w Paryżu, ale wciąż ma orzełka na dresie. Trzymam za nią kciuki, trudno Katii nie lubić, ale bądźmy realistami…

Szanse na ślizgawce

To wszystko nie oznacza, że jeśli chodzi o lodowe dyscypliny podczas igrzysk olimpijskich w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo zostaniemy na lodzie. Właśnie na ślizgawce mamy chyba największe medalowe szanse.

Tak naprawdę łyżwiarstwo szybkie ma ze ślizgawką niewiele wspólnego. To bardzo drogi i specjalistyczny sport. Zacznijmy od torów: mogą być krótkie i długie. Z krótkimi mniejszy problem, można je wyznaczać w halach, w których grają hokeiści i popisują się przedstawiciele łyżwiarstwa figurowego. Tor długi wymaga specjalnej hali, odpowiedniego lodu, a najlepiej jeszcze dużej wysokości nad poziomem morza. W Polsce zawodniczki i zawodnicy jeździli trenować do Niemiec, później PiS zarządził wybudowanie hali w swoim mateczniku, w Tomaszowie Mazowieckim. Chwała mu za to. Było gdzie trenować, organizowano zawody, także puchary świata. To nic, że w Tomaszowie trudno uzyskiwać dobre wyniki, bo lód jest „wolny", a tor na nizinie.

Teraz powstaje w bólach nowy tor – w Zakopanem. Terminy oddania do użytku już się mocno opóźniły, dyrektor zakopiańskiego COS stracił posadę, doszło do słownych przepychanek w mediach. Oto Polska właśnie.

Tor to nie jedyny koszt. Proszę zgadnąć, ile kosztują buty (same buty, bez łyżwy, zwanej tam płozą). 15–20 tys. zł! To niezły używany samochód. Buty wypada zmienić co dwa, trzy lata. Strój składa się z dwóch warstw, w tym jednej kevlarowej, bo łyżwy są tak ostre, że przeciąć potrafią lepiej niż brzytwa. Wszystko to razem sprawia, że ubiór panczenisty kosztuje więcej niż wieczorowa suknia z luksusowego paryskiego salonu mody.

Skoro już nasi zawodnicy są ubrani i wyposażeni, zaczynamy od długiego toru. Z mistrzostw świata w norweskim Hamar reprezentacja Polski przywiozła trzy medale: kobieca sztafeta sprinterek brązowy, a Vladimir Semirunnij srebrny (na 10 tys. m) i brązowy (na 5 tys. m). Jeśli są medale na mistrzostwach świata, trudno nie marzyć o olimpijskich podiach.

Pechowa Natalia

Jest pewien kłopot z Vladimirem. Najlepszy polski panczenista nie jest do końca Polakiem. Ma prawo mieszkać w naszym kraju, reprezentować jego barwy podczas międzynarodowych mistrzowskich imprez, ale żeby pojechać na igrzyska, trzeba mieć polski paszport, a Vladimir go nie ma. Ze wszystkich stron płyną apele o jak najszybsze przyznanie Vladimirowi Semirunnijowi polskiego obywatelstwa, ale widoczne są jakieś przeszkody przeciągające procedurę.

22-letni Vladimir Semirunnij jest Rosjaninem, który po rozpoczęciu inwazji przez jego kraj na Ukrainę uciekł do Polski. Rosyjska federacja łyżwiarska nałożyła na niego dwuletnią karencję. Mógł tylko trenować na „wolnym" lodzie w Tomaszowie. Gdy przywrócono mu prawo startów, zaczął bić rekordy, bo jak mówi (coraz lepiej po polsku) interesują go tylko zwycięstwa. A w ogóle, to fajny chłopak.

Przenosimy się na tor krótki. To ciekawsza do oglądania dyscyplina. Rywalizuje się bezpośrednio, na wielkiej prędkości i na ostrych łukach (w panczenach prędkość nabywa się właśnie na łukach, a nie na prostych odcinkach). Wyścigi mogą przypominać nieco żużel, także ze względu na ryzyko doznania kontuzji; nie zapominajmy na moment o ostrych jak brzytwa łyżwach.

Na torze krótkim Natalia Maliszewska jest wybitną, ale też wybitnie niefartowną łyżwiarką. Istnieje ostatnio moda na produkowanie filmów dokumentalnych o sportowcach z pokręconymi nieco życiorysami. Jestem pewien, że doczekamy się takiego o Natalii Maliszewskiej, medalistce olimpijskiej ze zbliżających się igrzysk w Italii. W Pekinie wpadła w COVID-owe tryby. Uznano ją za nosicielkę wirusa i poddano kwarantannie. Dosłownie w dniu startu okazało się, że wynik był błędny i z ciasnego pokoiku wysłano ją na lód. Sukcesu nie mogło być.

Później przyszła sprawa z dopingiem. Nikt jej nie przyłapał na stosowaniu niedozwolonych środków, zlekceważyła natomiast zasadę podawania w internecie miejsca pobytu, tak, aby mogła do niej przyjść niespodziewana kontrola. Kosztowało ją to 14 miesięcy dyskwalifikacji. Wróciła na tor i coś czuję, że po takich przejściach musi wreszcie odnieść sukces.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 9.04.2025 r.

eprasa.pl 9d63dd6775

ŚŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Poseł Przemysław Czarnek trzy razy mrugnął prawym okiem, co w języku konspiracji znaczyło: „Cześć, Zbyszek”.

Na co poseł Zbigniew Ziobro odmrugnął dwa razy lewym okiem i raz prawym: „Cześć, Przemek”.

Czarnek wyjął z kieszeni plik kolorowych karteczek samoprzylepnych i na pierwszej z góry napisał: „Proponuję taki rodzaj rozmowy, żeby uniknąć przypadkowych nagrań”. Podkreślił słowo „przypadkowych”. Z drugiej kieszeni wyciągnął drugi plik karteczek i dał go Ziobrze.

„OK” – odpisał Ziobro.

Czarnek uśmiechnął się bezgłośnie. „Demencja Jot Ka zaczyna być uciążliwa. To, co on mówi o karze śmierci dla Gie albo o tym, że prokurator Wu powinna siedzieć, zaczyna nas ciągnąć na dno” – napisał.

„Może i zaczyna ciągnąć, ale prokurator Wu powinna siedzieć. Gdy zostanę ministrem sprawiedliwości, to posadzę ją na resztę życia” – odpowiedział Ziobro na piśmie.

Resztę czyjego życia? – pomyślał złośliwie Czarnek, ale zamiast tej myśli na kartkę przelał inną: „Tak czy siak, trzeba by coś z Jot Ka zrobić”.

Może to, co on chciałby zrobić z Giertychem… – zastanowił się Ziobro, a na karteczce napisał: „Wystarczy poczekać na wynik wyborów. Jeśli En przerżnie, to Jot Ka ustąpi”.

„Naprawdę myślisz, że sam ustąpi? Dotychczas po żadnej porażce nie chciał ustąpić”.

„Bo nikt na niego nie naciskał. Tym razem naciśniemy”.

„My?”

„No, dopilnujemy, żeby ktoś nacisnął”.

Prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż znajdzie się odważny, który naciśnie na prezesa – Czarnek odwołał się w myśli do Biblii. A na kartce napisał: „Może by jednak postawić na otępienie starcze Jot Ka? Kazać mu się poddać badaniom albo coś”.

Taki chuj jak słonia nos – pomyślał Ziobro, nie powołując się na Biblię – Kaczyński na to nie pójdzie. „Jedyne, na co zgadza się Jot Ka, to artroskopia kolana” – napisał Ziobro ze znawstwem doświadczonego pacjenta.

„Co to jest artroskopia?”

„Wbijają ci drut w kolano i patrzą, co z tego wyniknie”.

„Jprdl”.

„Jprdl” – zgodził się Ziobro.

Była to jedyna zgoda osiągnięta podczas tej papierowej rozmowy.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN chodzi po mediach i wygaduje bluźnierstwa. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** jest z niej bardzo dumna.

Wołk-Łaniewska: – Niniejszym zostałaś moją osobistą bohaterką…

Senyszyn: – Niniejszym zostałam? To przedtem nie byłam?

– Nie, wcześniej byłaś tylko moją ulubioną polityczycą…

– Chyba wolę tę drugą formę feminatywu, którą wymyśliłaś.

– Ok, to politessą. A teraz, odkąd powiedziałaś w Interii, że szybciej Trump napadnie na Grenlandię niż Putin na Polskę, to zostałaś też moją bohaterką.

– To była, wyjaśnijmy, figura retoryczna: uważam, że nie zdarzy się ani jedno, ani drugie. Ale politycy w Polsce zawarli ponadpartyjne porozumienie, żeby straszyć wojną, bo łatwiej się rządzi przerażonym społeczeństwem.

– U nas, jak się okazuje, nie jest jeszcze tak źle. Rozmawiałam ostatnio z przyjaciółmi z niemieckiego ruchu antywojennego i tam obowiązuje narracja, że wojna będzie na pewno, w 2029, a najpóźniej w 2030.

– W Niemczech?

– W Niemczech akurat nie, ale Rosja napadnie na kraje bałtyckie oraz Polskę, a Niemcy będą musieli nam pomagać i leczyć naszych rannych. Nawet ktoś obliczył, że będzie ich 1000 dziennie. Jak tego posłuchać, to polscy politycy zachowują umiar. Oni mówią tylko, że jak się uzbroimy po zęby amerykańską bronią, to Ruscy się tak przestraszą, że nie przyjdą.

– Za 5 proc. PKB, czyli koło 200 mld zł rocznie, to wyżej niż do nerek nie starczy. Gdyby Rosja miała naprawdę nas napaść, to i tak sami się nie obronimy, choćbyśmy wydawali i 20 proc. PKB. Nie ma sensu być prymusem, zamiast 5 proc. można wydawać 3,5 – i wtedy zostanie nam 90 mld na ochronę zdrowia, mieszkania komunalne, podniesienie kwoty wolnej od podatku do przynajmniej 60 tys. zł… A przede wszystkim nie zadłużymy przyszłych pokoleń. Naprawdę te dodatkowe miliardy – a nawet i większość z 3,5 proc. PKB – to tylko ciąg dalszy robienia Amerykanom laski, o czym mówił już ponad 10 lat temu Sikorski w knajpie Sowa & Wrogowie, bo przyjaciele się przecież nie nagrywają…

– Bez przesady, a Michnik Rywina? Fakt, że co najmniej jeden z nich był pijany, a to według Czarzastego okoliczność łagodząca. Ale wracając do procentów, ja bym poszła dalej i zeszła do dwóch, wymaganych przez NATO. Ale oczywiście nic z tego nie będzie, bo po pierwsze – jak trafnie zauważyłaś – opowieści o wojnie są politykom potrzebne do straszenia ludzi. A po drugie jest jeszcze ten popieprzony efekt flagi: że ludzie się nabzdyczają patriotyzmem i gromadzą wokół wodza. Margaret Thatcher przestałaby być premierem po jednej kadencji, z korzyścią dla brytyjskiej klasy robotniczej i generalnie świata, gdyby nie debilna wojna o Falklandy/Malwiny, którą Jorge Luis Borges nazwał trafnie wojną dwóch łysych o grzebień. George W. Bush w życiu by nie wygrał drugiej kadencji, gdyby nie 11 września.

– Można tak długo ciągnąć. W 2014 r. PO nie wprowadziłaby do europarlamentu tylu swoich przedstawicieli, gdyby przed wyborami Tusk z całą powagą nie oświadczył, że nie wiadomo, czy polskie dzieci pójdą 1 września do szkoły. W 2015 r. PiS nie wygrałoby wyborów do sejmu i senatu, gdyby nie rozpętało antyuchodźczej paniki, a w 2019 – antyelgiebetowskiej.

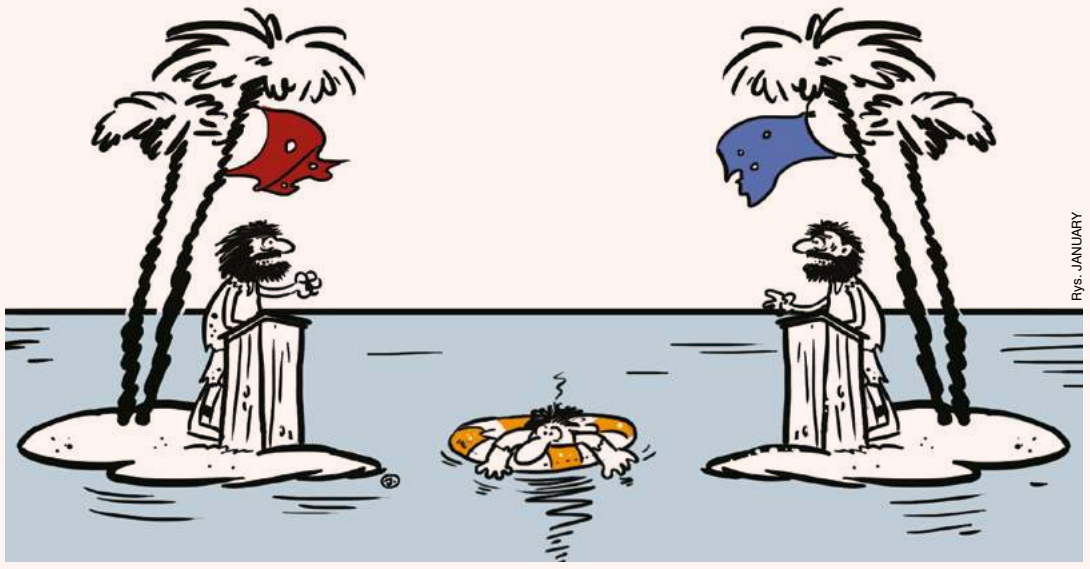

Rys. JANUARY

– No i nie należy zapominać o doktrynie szoku opisanej jakże błyskotliwie przez Naomi Klein. Z podtytułem, który właściwie streszcza całą książkę: „Jak współczesny kapitalizm wykorzystuje klęski żywiołowe i kryzysy społeczne”. Przypomniało mi się to, gdy posłuchałam spotkania Tuska z przedstawicielami przemysłu motoryzacyjnego na okoliczność ceł Trumpa. Otóż wystąpił tam młodzieniec nazwiskiem Wideł, reprezentujący Konfederację Lewiatan, który wygłosił tezę następującą: „Zawsze uważałem, że kryzys jest dobrym momentem, żeby przeprowadzić dobre zmiany”. I jeszcze wyraził żal z powodu „malejącej atrakcyjności Polski jako kraju niskich kosztów pracy”. Tutaj chyba Tusk musiał go zgromić wzrokiem, że takich rzeczy się nie mówi w kampanii wyborczej, bo Wideł dodał skwapliwie: „Na szczęście ja się bardzo cieszę, że Polska już nie jest krajem niskich kosztów pracy, ale”…

– Niektórzy jeszcze się czasem połapią, że – jak byś powiedziała – pieprznęli głupotę…

– Ja to bym powiedziała „pierdolnęli”…

– Jak zwał, tak zwał – i niepotrzebnie ujawnili prawdy ukrywane przez klasą ludową, więc trzeba się rakiem wycofać. Ale taki Mentzen brnie – naszym zdaniem – w bagno, a rośnie mu jak na drożdżach, bo celuje w niszę, jak kiedyś Palikot, Kukiz, Hołownia.

– Latem 2023 r. też Konfederacji rosło jak na drożdżach, a do 15 października zmalało. Ale skoro już się tak zgadało o Trumpie i cłach: nie masz wrażenia, że cała ta debata jest nieco jednostronna? Owszem, walenie cłami na oślep po wsiech to polityka na miarę Trumpa, czyli cepa, ale jakoś nikt nie wspomina, że najlepszy interes na umowach o wolnym handlu zrobiły wielkie korporacje, które przeniosły produkcję do krajów o wspomnianych wyżej niskich kosztach pracy. I że sensownie kierowane cła mogą być instrumentem wspierania krajowego rynku pracy.

– Kluczem jest słowo „sensownie”, którego Trump i jego otoczenie nie znają.

– Teraz wszyscy antytrumpowcy przesyłają sobie wzajemnie wystąpienie Reagana z 1986 r., gdzie opowiada on o tym, jakie straszne jest chronienie krajowych producentów przez państwo, bo prowadzi do „najgorszego: ludzie przestają kupować”… To byłaby prawdziwa katastrofa: jakbyśmy przestali kupować tony zbędnego badziewia, które wciskają nam wszystkimi kanałami…

– Młodzi Polacy odchodzą od stylu życia swoich rodziców i wyłamują się z tresury do konsumpcji, która kształtowała pierwsze pokolenia III RP. Chcą mieć więcej czasu i przeżyć, a nie tylko więcej produktów i kredytów do spłaty.

– Zobacz, młodzi a niegłupi… Na koniec ci opowiem, że byłam na koncercie Zespołu Reprezentacyjnego…

– Reprezentacyjnego czego?

– Niczego, to nazwa zespołu jest, gra tam między innymi red. Gugała z Polsatu. Wzruszyłam się do łez, bo artyści kilkukrotnie powtarzali, że grają już razem „ponad 40 lat”, a ja ich słucham od 39. Zespół ma taki przebój, nazywa się „Król” i jest ich własnym tłumaczeniem piosenki Brassensa. Refren brzmi: „Nie poradzisz nic, bracie mój, gdy na tronie siedzi chuj”. Patrz, 40 lat minęło, a tekst w ogóle nie stracił na aktualności.

– Co gorsza, z sondaży prezydenckich wynika, że społeczeństwo nie chce zmiany, skoro gra o tron toczy się między trzema.

– À propos gry: mam pomysł. Teraz modne jest wyzywanie na debaty, więc powinnaś wyzwać Trzaskowskiego na debatę w Telewizji Republika.

– Dlaczego akurat w Republice?

– Bo Trzaskowski uchodzi w niej za pomiot Tuska, a ty – szatana. Więc będzie bezstronna.

– Pytam, bo tak się składa, że debata w Republice jest zaplanowana na najbliższy poniedziałek. Tylko że Trzaskowski już zapowiedział, że nie przyjdzie. I Biejat też. Choć ją akurat rozumiem – skoro, jak sama przyznaje kolorystyką swojej kampanii, jest zielona…

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 9d63dd6775